



POZNAŃSKA
SPÓŁDZIELNIA
MIESZKANIOWA

PROTOKÓŁ k u l t u r a l n y



Nr 82 Rok XXIV ISSN 1506-1833 Poznań 2022

Edward Balcerzan

Z archiwum czułości

Manifest pisarski to gatunek przed stu laty nad wyraz aktywny, dziś deficytowy. Fortunną próbą jego odrodzenia stał się zwięzły – poświęcony czułości – siódmy odcinek noblowskiego odczytu Olgi Tokarczuk. Czułość jako obietnica i powinność autorska stanowi cel jej programu. Rzec by można: cel bezwarunkowy. Sztokholmskie wołanie o czułość zostało usłyszane przez uczestników debat publicznych – publicystów, polityków, aktywistów społecznych. Stało się popularne i rozpoznawalne. Jest powtarzane w portalach społecznościowych, emitowane wielokrotnie w radiu – bez informacji, kto mówi. Z nagraniem słów Noblistki dzieje się tak, jak ze znanymi utworami muzycznymi: gdy rozbrzmiewają w eterze dźwięki *Eine Kleine Nachtmusik* czy wibracje *Lotu trzmiela*, zakłada się, że „każdy wie”, czyje to jest i co to.

Jaką szansę ma „czuła narracja” Tokarczuk w specjalistycznej refleksji nad sztuką (nie tylko powieściopisarską)? Stanowi jedną z wielu propozycji – w długim, wieloletnim szeregu pojęć, wypożyczanych sukcesywnie z wiedzy o człowieku. Niektóre pojawiały się w poezji, inne w krytyce, a jeszcze inne w filozofii. Mieliśmy „czucie i wiarę” (Adam Mickiewicz), „bojaźń i drzenie” (*Søren Kierkegaard*), intuicję (Henri Bergson), podświadomość indywidualną i zbiorową (Zygmunt Freud, Karol Gustaw Jung), szaleństwo (Tadeusz Miciński), dreszcz metafizyczny (Witkacy), zabawę (Johan Huizinga), wstyd uczuć (Tadeusz Peiper), autentyzm przeżyć autorskich (Stanisław Czernik), walkę o własną wybitność (Witold Gombrowicz), zaangażowanie, ale także mdłości (Jean-Paul Sartre), zachwyty (Julian Przyboś), zachwyty i rozpacz (Agnieszka Papińska), niepokój (Tadeusz Różewicz), wyobraźnię (Jan Brzękowski, Zbigniew Bieńkowski, Kazimierz Wyka, Jerzy Kwiatkowski), mylne wzruszenia (Miron Białoszewski), radość pisania (Wisława Szymborska), romans z tekstem (Jan Błoński), przyjemność tekstu (Roland Barthes), gorliwość tłumacza (Magda Heydel). Dodajmy do tego ciągu najnowsze studia poświęcone melancholii, nostalgii, empatii, uważności...

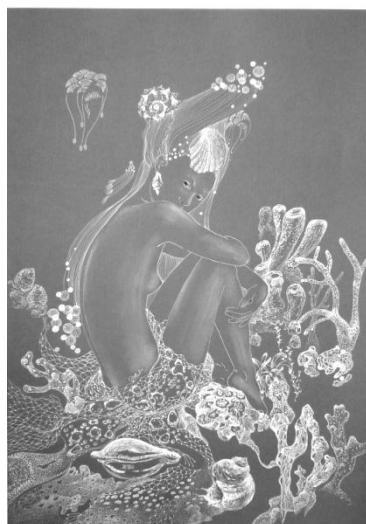
Czułość w tym szeregu nie dziwi. Nie jest nowa. Ma wcale zasobne archiwum. Nadal prowokuje do namysłu. Trwa spór o czułość, także spór z czułością, jedyny w swoim rodzaju na tle europejskim. Został zainicjowany przez Cypriana Kamila Norwida zwięzłym, („węzlastym”, powiada Przyboś) wierszem ze zbioru *Vademecum*:

Czułość bywa – jak pełny wojen krzyk;
I jak szemrzących źródeł prąd,
I jako wtór pogrzebny...

*

I jak plecionka długa z włosów blond
Na której wdowiec nosić zwykł
Zegarek srebrny ---

Ten wiersz bardziej otwiera, niż zamyka problem. Nie określa centralnego sensu słowa „czułość”. Od definicji, choćby metaforycznej, poetę oddala bezmierna skala obecności tego fenomenu, jego znaczeniowa rozrzutność, która przejawia się w sprzecznych zachowaniach uczuciowych, a więc w głośnym i cichym, gigantycznym i miniaturowym, tłumnym i pojedynczym, szczerym i udawanym. Górują sytuacje traumatyczne, „pełny wojen krzyk”, „wtór pogrzebny”, „wdowiec”. Tylko „szemrzących źródeł prąd” nie boli, brzmi ożywczo (Edward Stachura w „prądzie źródeł” doczytał się źródła miłości).¹ Cytowanym wierszem Norwid zaczarował, a jednocześnie onieśmielił „późnych wnuków”. Według Mateusza Antoniuka, pomysłodawcy badacza młodej generacji, zarówno sam Norwid, jak i wybitni twórcy XX wieku potrafią wobec czułości zademonstrować jedynie bezsilność. Przykładem - jeden z ostatnich wierszy Zbigniewa Herberta, zaczynający się od słów: „Cóż ja z tobą czułości w końcu począć mam”².



¹ M. Łukaszuk-Piekara, „Dopełnienie?...Go boli...?” : „Czułość” Norwida, lekcja ciszy współczesnych (2007).

² M. Antoniuk, *Czułość bywa jak... Bezsilność wobec czułości - Norwid, Wyspiański, Herbert, Miłosz* (2006).

dyskredytowaną, co z kolei daje poczucie siły wobec skomplikowanej cechy ludzkiego postrzegania świata. Dzieje się tak wtedy, gdy - jak w piosence Wojciecha Młynarskiego - „czuła struna drgnie, i rozpoczną się”... czułościowe, sentymentalne banały. Stają się one przedmiotem nieczułych kpin. W *Rozmowie o poezji* Stanisława Grochowiaka, stanowiącej manifest turpizmu, rozmawiają Dziewczyna i Poeta. Poezja wydaje się Dziewczynie kojącym, delikatnym pięknem, „jak z Dafnis bardzo czuła chwila”. Z kolei dla Poety, porte-parole Grochowiaka, poezją musi być ekspresja bólu, pamięć okrucieństwa, niczym „ostro / Całowany tasak”. Dziewczyna nie ustępuje:

Rozumiem pana. Z wierzchu ta ironia,
A spodem czułość podpełza ku sercu...

P o e t a:

Dlaczego z pani jest taka piwonია,
Co chce zawzięcie być butelką perfum?...

Grochowiak (na szczęście) oprócz drwiącej, niewyrafinowanej *Rozmowy o poezji* napisał zastanawiający wiersz *Czułość albo Guliwer*. Tu już czułość nie oznacza naiwnej ckliwości, lecz pełną bólu wrażliwość na istnienie cielesne, podobne do tortur. Oto całość wiersza:

Chodziła po mnie księżniczka z złotą konwią
I śniłem / Że podlewa me palce / Aby znów zakwitły /
Była drobna Niebieska Za srebrną woalką /
Potem śniłem strażników / Kroczących w głąb ust /
Na moście zwodzonym języka / Kapral podniósł latarnię /
Rozzłocił mi krtań / Wreszcie w muszlach mych dłoni /
Wzniesiono kościoty — / W lewym był pogrzeb /
W prawym zaślubiny / Leżałem w trwodze /
By niczego nie spłoszyć / Mokrym chlupotem /
Serca

Poeta tym wierszem – bez przesady! – wyprzedził dzisiejsze badania, podejmowane głównie przez młodych, nakierowane na czułość ciała w literaturze³.

Jak widać, wieloznaczność i wielowartościowość czułościowych reakcji na świat wyzwalają również zróżnicowane reakcje. Od niechęci do apoteozy. Od doświadczeń codziennych (na przykład w wierszach Julii Hartwig z tomu *Czułość*), do doświadczeń lekturowych, inspirowanych filozofią (na przykład w zbiorze esejów Adriana Glenia, noszącym identyczny tytuł *Czułość*). Wartością szczególnie cenną staje się czułość w pamiętnym zdaniu Juliana Przybosa, który tak oto przywitał debiut książkowy Białoszewskiego *Obroty rzeczy*. „Nikt jeszcze w poezji polskiej nie wyraził takiej czułości dla rzeczy”. Tutaj czułość oznacza godną uznania troskliwość, a nade wszystko umiejętność portretowania charakterów, by nie powiedzieć: osobowości rzeczy.

Czułość rodzi sprzeczności. Sprzeczności rodzą literaturę. Dlatego każda odmiana czułości, narracyjnej lub lirycznej, ujmowanej z ufnością lub powściągliwością, będzie miała swoje miejsce w tym systemie.

Dopóki komuś nie przyjdzie do głowy, żeby wymyślić postczułość. I ogłosić wszem i wobec zwrot postczułościowy.

³ Zob. w internecie: M. Ciechańska - praca, repozytorium.pdf (1.691MB)

Stefan Pastuszewski

Aż

taki to poranek
kiedy hałasy wyłażą z nocnej ciszy
a czynią to wbrew dynamice ruchu bardzo
niechętnie

wyłazi też z pamięci inny poranek
z dziewczyną jak klucz wiolinowy
uwypukloną
stukają sarnie kopytka jej czerwonych
bucików
do zlewki mózgu skapuje kilka kropel
testosteronu

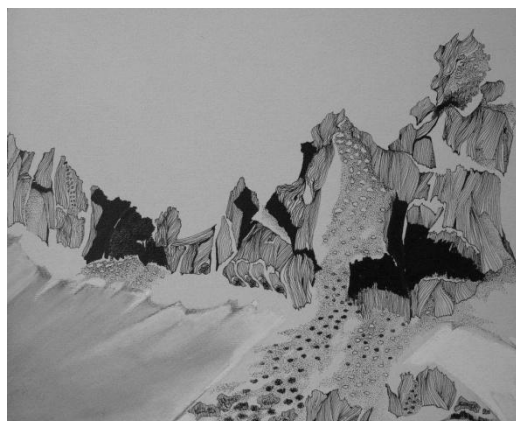
ale zaraz też
wyłażą myśli niczym robaki po deszczu
dżdżownice bez początku i końca
i już po dziewczynie
kłębi się ta zwierzęciarnia w klatce obolałej
od snu czaszki
niczym dzieciarnia w ciasnym korytarzu
przy wejściu do szkoły
pani woźna porządku życia i pracy
wali na oślep mokrym ręcznikiem
przemycania twarzy

wszystko się ustala
na moment dnia
tylko ten pierwszy hałas
chyba otwieranego okna u sąsiadki
z naprzeciwka

hałasuje tak długo
aż ostatnia kropla testosteronu
wyparowuje do ledwo widocznego śladu
nieokreślonego niepokoju
na przeźroczyściej szybie czystego sumienia
spełnionego obowiązku kolejnego dnia
ale

okna sąsiadki szczelnie pozamykane
przez grube kotary nie sączy się światło
jej twarzy i piersi

a tu pęcznieje i pęcznieje
aż rozjedzie to wszystko pociąg snu śmierci
może Bóg da kolejny poranek
na kolejny moment
aż wyschnie morze testosteronu
i nastanie pustynia biała
i niesłona



Bohdan Urbankowski

**Raport Amnesty International
04.08.2022**

Na wstępie dziękujemy bohaterskim
urzędnikom i wolontariuszom
za wkład pracy opłacany tak
nieproporcjonalnie do ich łez
że rzecz można pracowali dla idei
Ich trud wymagał często zmiany trybu życia
planowanych urlopów, posiłków a czasem
wyjazdów do miast leżących w
zabójczym klimacie
takich jak Busza, Irpień, Mariupol i innych
o równie barbarzyńskich nazwach
(po przyjeździe okazywało się najczęściej
że takie miejsca w ogóle nie istnieją!).

Z wywiadów ze świadkami już wiarygodnymi
wynikało również, że najczęściej
sami zadali sobie śmierć i jeszcze
jakby tego było mało podpalali domostwa
a kobiety - wstyd powiedzieć - przed śmiercią
taplały krwią swoją skórę, zwłaszcza nogi
do kolan
(licząc od góry)

Dzięki bohaterstwu urzędników
możemy dziś podać światu
dobrą nowinę: kto winien
strzelania do cywilów, masakrowania szkół,
szlachtowania szpitali
czasem cerkwi wypełnionych skrwawionymi
ludźmi, figurkami i jeszcze
jakaś niewidzialną galareta

Więc po pierwsze winni obrońcy Ukrainy,
którzy zamiast się cofać
stoją na progu domów, a czasem całych
miast
prowokując w ten sposób do strzelania,
a do niedawna jeszcze do kopania zbiorowych
dołów
w szkodliwych i cuchnących krwią warunkach
Na szczęście dzięki humanitaryzmowi jednej
ze stron
pozwolono im samym kopać
z zasypywaniem szło trudniej

Nie wyjaśniono też sposobu
w jaki sposób i w jakiej kolejności
potrafili nadziewać swoje głowy na pal
i dlaczego do dzisiaj wyglądają tak świeżo

Po drugie oczywiście cywile.
Zamiast witać przybyszów rozłożonymi
rękami i nogami
chowają się po piwnicach
wołają zdychać śmiesznie trzęsąc się z głodu
lub w kałużach odchodów i krwi
zamieniając się też w odchody

PROTOKÓŁ
kulturalny

I po trzecie oczywiście
dzieci Nr 82/2022

te wszędzie wąż
nawet w środek egzekucji
myślą, że to zabawa
oczeki niby niewinne a czasem patrzyły tak
że trzeba je było z nieklamany
obrzydzeniem
wydłubywać

Załączamy też kilka rachunków -
hotele setki kilometrów od miejsc spotkań
i narad
stąd wysokie ceny dojazdów,
poza tym większość ekspertów nawet
nie ruszając się z domów
wymagała psychoterapeutów i leków
(rachunki w załączniku nr 2) .

Ukraina, początek maja

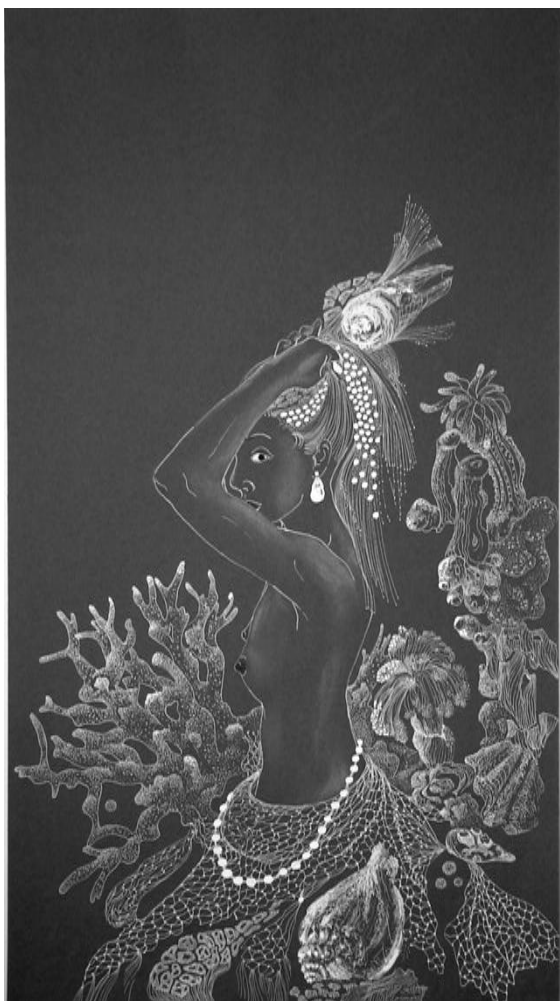
Niby sąsiedzi a warczą jak zwierzęta
spychają , ze stopni
Renię pobilii
a krzyczeli że ratują,, że jeszcze parę pięt...
Oleś z siódmego jeszcze mniejszy
chciał ukryć się w jaskini na półpiętrze
specjalnie coś w niej błyszczało
ale nie było windy, tylko lecąca w dół
przepaść

Jego mama znalazła go na dole
nawet po ciemku
niosła go głową ku ziemi
nie płakała, skuczała z radości

Na samym dnie nawet miętko
leżą jacyś, to nie wygląda na ludzi
wypływa z tego ciecz, po ciemku nie widać
ale czasem coś rusza się jak wielki puls

Ktoś powiedział, że światła już nie będzie
wziętem misia za łapkę
mama nie chciała, ale to było jak śpiew
zdążyliśmy na górę, ktoś specjalnie zdart
górne pietra

Od wschodu lecą samoloty
ich skrzydła niosą nam światło
rozbłyskują tysiącami małych słońc
i mama nas znalazła, zdążyłaś
chodź do nas
jest jasno
zawołajcie



Krystian Medard Manteuffel

**ABSTRAKT: Bo aby stworzyć
hybrydę, potrzeba dwóch,
co najmniej dwóch.**

Dokończenie

W-wa 29 XII 67

Janusz,
Leszin zaproponował mi zrobienie wyboru wierszy do „Rocznika poetyckiego”, który zamierza wkrótce wydać i na który ma pieniądze, które też zamierza wydać. Ale pieniądze są tu ostatnią sprawą mnie interesującą. Zgodziłem się na to, po pewnym namyśle. Powiedziałem, że przyjmuję to, ale jako tak zwaną robotę zleconą, bez wchodzenia do ewentualnego kolegium „Rocznika”. Leszin, jak Ci może wiadomo, pożarł się mocno z Hybrydowcami, a zwłaszcza z panem Gąsiorowskim i ja się nie chcę w to mieszać. Mnie to ani ziębi, ani parzy. Próbowałem niemniej pogodzić Leszina z Gąsiorowskim, tłumacząc Leszinowi, że ze mnie dużej pociechy i tak mieć nie będzie, a z Gąsiorowskim dogad-

dywali się przecież bardzo długo i w ogóle jest to robota, która G. odpowiada, w przeciwieństwie do mnie. Ale nic z tego nie wyszło. Więc robię wybór wierszy i reszta mnie nie obchodzi.

Widziałem w materiałach, które już są, Two-
je trzy wiersze. Czy mógłbyś nadesłać jeszcze parę wierszy, trzy, cztery, mogą być drukowane, myślę. Osobiście bardzo bym prosił o ten wiersz, który mnie tak zachwyił, wiesz o którym myślę. Ten, który mówiłeś mi. Drukując go w roczniku będziesz mógł śmiało drukować go również gdzie indziej.

Prześlij więc go i parę innych na adres Studencka Agencja Wydawnicza W-wa, Mokotowska 48, Hybrydy.

Korzystając z okazji życzę Szczęśliwego Nowego Roku Sted.

Gdybyś mógł przysłać wiersze możliwie szybko, to byłoby bardzo dobrze. Złych wierszy oczywiście nie przysyłasz, bo takich nie masz i nawet chyba nie potrafiłbyś napisać, ale przyslij te z dobrych najlepsze, a jeśli wszystkie najlepsze to przyslij ulubione, a jeśli wszystkie ulubione to niech decyduje los.

Tym słowem kończę. Sted

Dotyczy prac przygotowawczych do wydania publikacji „Za progiem wyboru” (taki ostatecznie przybrała tytuł, jako suplement do niej wydany został poemat Janusza „Trzynaście miesięcy”).

*

W-wa 5 XI 68 r.

Drogi,

Twoje sny o tym jak rzucają mnie w przepaść i Zyta jako oszalała wdowa - są eufemistycznie mówiąc, straszliwe. Sen - mara, Bóg - wiara, mam wiarę, że nie spełnią się, a przynajmniej nie szybko.

Drogi! Dwa Twoje piękne wiersze idą w „Twórczości” w jednym z najbliższych numerów. W najbliższym idą dwa Wojtka. Wracając do Twoich, to (jeszcze to sprawdzę): „Miesiąc adwentowy” i „Miesiąc ptaków z Kapitolu”. Więc bądź łaskaw nigdzie tych dwóch nie posyłać.

Ruszyła sprawa rocznika, dla którego robiłem wybór wierszy (pięć Twoich tam jest między innymi). Leszin mówił mi, że rocznik jest po cenzurze. Teraz chce, żebym objął dział prozy w kwartalniku, który ma wydawać pod nazwą, zdaje się „Orientacja”. Ale wiesz, jak jest.

U nas bida. Kończę powoli „Całą jaskrawość”. Im prędzej oddam do Wyd. tym prędzej będzie forsa. Dużo mamy długów. Dużo.

Janusz, z załatwieniem wierszy w innych redakcjach, to nie trzeba do tego, myślę, mojej ręki. Wyślij im sam i na pewno pójdą. Myślę, że rozumiesz mnie.

Twoją recenzją o mnie dla „Pomorza” nie przejmuj się zupełnie. Najważniejsze w końcu, że Ty ją napisałeś, a ja ją przeczytałem.

Pozdrów Wandę i Nonę i Darię. Tudzież Włodka Paźniewskiego. Piękna była ta droga z Odolionu i lasem i potem wąwozem. Wspominam ją jak sen.

Ściskam Cię mocno i wybac, że tak piszę skokami i trochę obłądnie. Zmęczony jestem.

Czwarta ranna godzina
jeszcze broczy ale już ją dopadają
psy naganki

Ściskam Cię mocno i całuję w brodę i wąsy. Czekam na dobre wieści od Ciebie. Napisz. Zytą dziękuję za pozdrowienia i Ciebie, Wandę, Darię i cudowną Nonę – pozdrawia gorąco. Sted.
Uklony również dla Mamy Wandy.

Komentarz J. Ż.: „O niesamowitym i strasznym (proroczym?) śnie pisze w artykule. Recenzja do „Pomorza” - zarówno tam, jak i w „Faktach i myślach” nikt jej z uwagi na rangę, jaką przypisywałem poezji Steda, nie chciał drukować, mówiono, że za wcześnie tak o poecie pisać, a przecież było to o książkach, o których teraz **tak właśnie się pisze**. Ten głos osłodziłby wówczas Stedowi wiele przykrości z odgłosów recenzenckich pp. Rogozińskich czy Matuszewskich! O wspomnianej drodze z Odolionu do Łazienka pisałem już we wspomnieniu o Stedzie w „Integracji”, piszę o niej również w artykule.”

*

Sława Śląska 4 XI 68 r.

Drogi!
posyłam Ci „Szarańczę”. Myślę, że to, co napisałeś o „Przystępuję” możesz śmiało przypisać „Szarańczy”, gdybyś miał zamiar, tak jak mówiłeś, coś o niej pisać. Najlepiej jeśli uprzedzisz „Pomorze”, że zastrzegasz sobie pisanie o mnie. Żeby Cię znowu nie wyrolowali jak z poprzednim Twoim tekstem.

Piszę Ci o tym, bo chyba nie mam powodu tłumaczyć, że wolałbym, żebyś to Ty pisał o „Szarańczy”, niż ktokolwiek inny. Melkowski czy jakiś inny polonistyczny pan.

Zdaje się, że byłeś na Sympozjone ostatnim. Ja opuściłem W-wę dzień przedtem. I co sądzisz? - jak mówi Bruno. O tej imprezie. Leszin mówił mi, że wydaje Ci „Trzyście miesięcy”. Cieszę się bardzo. Miałbyś wtedy po „Landszafcie” - trzy tomiki.

W W-wie nie dostałem tyle pieniędzy, na ile liczyłem. Tak więc tylko część długów oddałem i ta ruda kita wleczę się za mną nadal. Ciężko jest, ale nie mówmy o tym.

Jesień jest niesamowita w lesie i na polu. Wieczorem mgły też niesamowite. W Zaduszki byliśmy z Zytą i Czopikami na starym całopolnym cmentarzysku łuzycyckim pod Głogowem. Tam na wydmach paliliśmy świeczki, a potem rozpaliliśmy wielkie ognisko z kartoflanych łęgów i skakaliśmy przez nie i piliśmy alpage, wylewając pół butelki w piasek - duchom w gardła.

Pozdrawiam Cię oraz Trzy Gracje. Także Zytą bardzo pozdrawia.

Sted

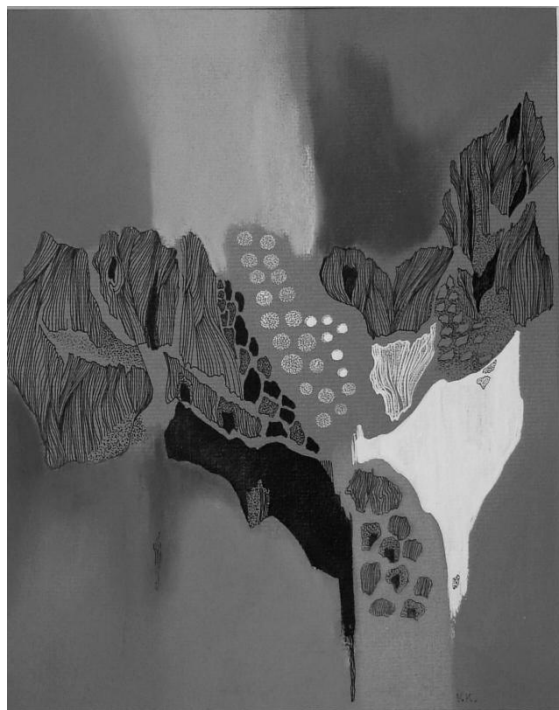
Pisz na W-wę. Listy nam odsyłają tu, gdzie jesteśmy.

Sława Śląska 4.XI.68 - Pozdrawiam Cię oraz Trzy Gracje. Także Zytą bardzo pozdrawia.

W-wa 5 XI 68 r. Zytą dziękuję za pozdrowienia i Ciebie, Wandę, Darię i cudowną Nonę - pozdrawia gorąco.

Komentarz Żernickiego:

„Książka, nad którą pracował w okresie tutaj drukowanych listów, nareszcie ukazała się. Janek Czopik - poeta i prozaik, przyjaciel Steda, zginął tragicznie. On swoją śmiercią zapoczątkował tę najsmutniejszą serię zgonów poetów średniego pokolenia. Daję do druku ten list, bo jakby groźne memento ów żalnik prasłowiański na końcu się pojawia.”



Stanisław Szwarc

Oczekiwanie

Jest jak apetyt.
Rośnie z czasem do rozmiarów
homara z szampanem,
to znów maleje do schabowego i sety.
Byle tylko były.
Wyolbrzymia i pomniejsza.
Opowiada coś o kwaśnych winogronach,
potem rozwija mirażę wróżki Morgany
jak szal hiszpańskiej tancerki.
Gdy zbyt długie, snuje spiskowe teorie,
maluje przyszłość czarnym zniechęceniem.

W kącie cały czas
czai się rozczarowanie.
Czeka, żeby powiedzieć:
A więc to tylko tyle...

Alicja Kubiak

Dajcie człowiekowi słowo...

Książki Anny Janko były dla mnie niemałym wyzwaniem. Zmierzenie się z takim ogromem uczuć, które targają bohaterką było czymś nowym. Narracja prowadzona w pierwszej osobie zawiera złudne przekonanie, iż autorka opowiada o sobie. Głęboka wrażliwość pomaga pisarce dostrzegać to, co dla innych jest niedostępne, niewidoczne. Dokładna analiza przeżyć może doprowadzić do wniosku, że ułożone życie bohaterki nie jest gwarancją stabilizacji. Zdarzyć się może, że któregoś dnia pojawi się inny człowiek, który rozbroi misterna, latami budowaną machinę. Nagle trybiki rozpadną się i zniszczą konstrukcję utworzoną z wielu wyrzeczeń, potu, bólu, łez, radości i codziennych drobiazgow – budulców rzeczywistości.

Ilość informacji przedstawionych w *Pasji według św. Hanki* ociera się niemal o kicz. Ile wyrazów potrzeba na określenie zauroczenia, zapamiętania i miłości? Jednak Anna Janko próbuje udowodnić, że milion wypowiedzianych słów o zakochaniu to nadal zbyt mało, by określić stan zmysłów zakochanej kobiety. Czułam się jak w pokoju z powieści Flauberta pełnym kiczowatych drobiazgow. Z drugiej strony można zdawać sobie sprawę, że to specjalny zabieg, który ma na celu podkreślenie ducha czasów z deficytem głębszych przemyśleń i medytacji nad sensem istnienia. Zatem u Janko przesyt wynika z potrzeby określenia możliwie największej ilości uczuć, jakie mogą spotkać każdego człowieka. Można odnieść wrażenie, że spowiedź z nawiedzających bohaterkę doświadczeń ma moc oczyszczającą i psychoterapeutyczną.

Niewątpliwie Anna Janko jest cenioną w środowisku literackim pisarką. Proza poetycka oraz wiersze tchną głębią przeżyć dokładnie analizowanych przez narratora. W tekstach autorka mocno zaznacza uczucia i określa siebie *rwącym strumieniem słów o miłości*. Jedno życie pełne emocji można by rozdzielić pomiędzy kilka osób.

Italo Calvino⁴ uważa, że sekret lektury *Wyprawa Cyrusa* leży u podstaw uważnego i dokładnego czytania, by niczego nie pomijać, lecz podążać za tokiem opowieści. Dlatego podążam za słowotokiem Hanki M., przez gąszcz myśli zaniepokojonej, to znów rozbawionej kobiety. W przerwach przesłuchuję wywiady z autorką *Dziewczyny z zapalkami*, *Pasji według św. Hanki* oraz *Finalistki* i zaczynam dostrzegać w bohaterce pierwiastki wyrwane z życia i osobowości Anny Janko. Ciągłe podróże, przeprowadzki, potrzeba zmiany otoczenia wynikają ze sposobu życia narzuconego już w dzieciństwie przez rodziców – jak to autorka podkreśliła w wywiadzie dla Tygodnika Powszechnego⁵. Nadmierna wrażliwość, a przez to emocjo-

nalne spalanie się, skutkuje zmęczeniem i refleksją nad tym, co w życiu jest ważne. Traumatyczne przeżycia, niemal otarcie o śmierć, przywołują myśli o przemijaniu i skupieniu się na tym wszystkim, co można przeciwstawić nieuchronnej agonii, zatem miłość, która tworzy coś nowego, nie tylko życie, ale również eksplozję uczuć i ekstatycznych przeżyć.

W tym całym chaosie zjawia się on – stary jesion. We wspomnianym wcześniej podkaście „Tygodnika Powszechnego” pisarka przywołuje drzewo jako symbol osi świata, totem, a nawet identyfikuje go jako trzeciego męża. To symbol potrzeby stabilizacji, zapuszczenia korzeni i przywołania do porządku wewnętrznego duchowego chaosu i życiowego rozbiegania. Nastaje czas wyciszenia, realizacji marzeń o statycznym życiu na sposób buddyjski, bez przeprowadzek, by stłumić lęk zapisany w genach, a w spadku – cierpienie i emocjonalne okaleczenie, gdyż jako wrażliwa dusza, autorka często wychodzi ze strefy komfortu w nadmiar emocji.

Gęsta narracja może irytować, zniechęcać i męczyć, ale jest też źródłem informacji, która drobiazgowo ukazuje stan uczuć. Czasami brak słów może prowadzić do nieporozumień, co jest znamienne dla społeczeństwa technologicznie rozwiniętego, gdzie dominuje cyfryzacja, a ludzie obserwują i nie rozumieją się wzajemnie. Oddalają się od siebie, przestają pojmować mowę ciała. Życie skupia się wokół komputerów i telefonów, w których odnaleźć można świat takim, jaki jest – wygodny i akceptowalny. Zapomniano, że prawdziwe życie to bezpośredni kontakt z drugim człowiekiem, gesty, spojrzenia, dotyk i umiejętność wyrażania uczuć.

Dziewczyna z zapalkami to poszukiwanie tożsamości, zbliżenie się do prawdy o ludzkiej egzystencji i do tego, co jest tajemnicze, wymaga wyjaśnienia. W książce zostały opisane błędy młodości, szybkie zamażpójście i związane z tym rozczarowania. *Pasja według św. Hanki* jest o miłości przedstawionej słowotokiem w formie zapisu wewnętrznego, a także próbą zrozumienia – czym jest miłość. To traktat o namiętności. *Finalistka* z kolei naświetla problem przemijania, starości i zmierzania ku końcowi życia.

Przeglądarka. Felietony poufale są w moim mniemaniu ciekawsze od wspomnianych wcześniej opowiadań. Teksty są napisane z polotem, dowcipem i lekkością, mimo iż dotyczą poważnych tematów, wyłuskanych z wyszukiwarki Google. Autorka nie obawia się odwołań do wiedzy wyszukanej w Internecie i odpowiedzi odnalezionych na forach dyskusyjnych. Traktuje je poważnie, czasami sceptycznie, innym razem okrasza dowcipem. Znamiennym dla felietonów jest to, że Anna Janko cały czas dotyka tematów o ludziach doświadczonych nieszczęściem, chorobą, również śmiertelną, ale też zdrowych, szczęśliwych, mających marzenia. Pisarka wszędzie odnajduje sens życia i uwydatnia to w swoich tekstach. Uważa, że należy żyć dla dużych spraw i dla drobiazgow, które składają się na wartość urozmaiconego życia.

Spomiędzy wpisów internetowych przebija się niemoc i strach użytkowników zalogowanych anonimowo. Dopiero w tym miejscu mogą napisać prawdę o sobie i swoich uczuciach, które ich przerażają lub zaskakują w nieoczekiwanych sytuacjach. Zrozumienie siebie i swoich głęboko skrytych uczuć może być równie nieoczekiwane jak dostrzeżenie płonącego meteorytu na niebie.

⁴ Italo Calvino *Po co czytać klasyków*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2020

⁵ Tygodnik Powszechny z 13.12.2021 Anna Janko: punkt zwrotny;

<https://www.tygodnikpowszechny.pl/anna-janko-punkt-zwrotny-170045>

Wstrząs związany ze zderzeniem się z rzeczywistością może być zaskakujący i na tyle odkrywczy, co uczucia, o istnieniu których nie miało się dotąd pojęcia. W pewnym momencie autorka dotarła do punktu, w którym obawiając się deklaszacji na głośdowej emeryturze, odczytała siebie w obliczu upadłego inteligenta *zesłanego przez zły los do więzienia najpodlejszej egzystencji*.

W tekstach Anny Janko można poczuć ła-twość pisania, chociaż jak pisarka przyznaje książka: *nie jest prostodusznym odzwierciedleniem mojego życia, lecz wiązką projekcji podpiętych narracyjnie do piszącego „ja”*.

W moim mniemaniu w opowiadaniach nar-racja jest nazbyt gadatliwa. Brakuje tam jakiejś zadumy nad tłem, otoczeniem, bo myśl jest sku-piona na własnych uczuciach. Gadulstwo i kicz - takie mam wrażenie. Krytycznie odnoszę się do tekstów Anny Janko, ale nie bez uznania dla autor-ki, bo nie sposób jej odmówić umiejętności opisy-wania miłości na wszelkie gadatliwe sposoby.

Anna Janko: „Dziewczyna z zapałkami”, Wydawnic-two Literackie, Kraków 2008, „Pasja według św. Hanki, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2012, „Finalistka”, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2021, „Przeglądarka. Felietony poufale”, Wydaw-nictwo Zwierciadło Sp. z o.o., Warszawa 2017.

Niels Hav

Powiedz coś

Ten, kto milczy
wyobraża sobie, że cisza,
która otacza jego milczenie
powie wszystko. Ale cisza ta
mówi swoim głosem,
i to stanowi problem.

To, co najważniejsze rozgrywa się
w strefie ciszy,
ale nad nią nikt nie sprawuje kontroli.
Tam anioły i demony mówią jednym głosem.
Jeśli chcesz coś powiedzieć,
musisz zrobić to sam.

Przestańmy wreszcie rozsiewać strach

Dlaczego tak brutalnie rozpychacie się
w autobusie, zima jest nieprzyjemna
sama w sobie.

Co wiemy na temat dobra
i zła? Przestańmy wreszcie
rozsiewać strach.

Większość ludzi zmaga się
z życiem,

a ten, kto co rano decyduje się
wstać, zasługuje na szacunek.

Po prostu genialne

Wiersze pod wieloma względami
różnią się od parówek
Na przykład mają tę nad nimi wyższość
że można je pożerać –
a jednak nie znikają.
Można się nimi napychać raz po raz;
a nie znikają.
Tak jak dzik z mitologii nordyckiej.

Tego *attaché ds. handlu z ambasady*
nie mógł pojąć. Dziwiło go to,
po prostu.

Ge-nia-lne, powiedział i zatarł ręce
uśmiechając się z zadowoleniem,
jakbyśmy siedzieli już teraz w Valhalli
i pili boski miód.

To przecież po prostu genialne!

Afazja

Kiedy przyglądam się małpie rozbijającej
ostrygę

o kamień, widzę siebie
roztrąsającego filozoficzny problem.

Nie można wykluczyć, że zwierzęta są
mądrzejsze

od nas, idą przez życie bez słowa,
my tego nie potrafimy. Cisza
wywodzi nas na manowce labiryntu psychiki,
słowa w głowie wiją się jak piskorze
ukryte głęboko; bezustannie zmieniając
znaczenie.

Każdy z nas zagnieździł się w ciele;
umiemy zwracać się do siebie czułymi
słowami,
lecz wszystko staje się coraz bardziej
abstrakcyjne.

Lisy mają nory, a ptaki powietrzne gniazda;
umysł pamięta osady
w dziczy. Teraz mieszkamy pośród regałów
pełnych słowników, w podniebnych
twierdzach bez nazw,
każdy na swoim pięttrze.
Jak to się nazywa?

przeł. Paweł Kaźmierczak

Niels Hav – pisarz i poeta duński. Opublikował w języku duńskim sześć zbiorów poetyckich i trzy zbiory nowel, a w języku angielskim – wiersze i prozę m.in. w „The Literary Review”, „Ecotone”, „Exile”, „The Los Angeles Review” i „PRISM International”. Jego twórczość, nagrodzona przez Duński Instytut Sztuki, była tłumaczona m.in. na angielski, arabski, turecki, hiszpański i chiński.

Anna Kokot-Nowak

Cyfrowy Frankenstein

Ponoć scrollowanie *news feedu* na Facebooku, czyli oglądanie tej środkowej kolumny, gdzie wyświetlają się aktualne wiadomości dotyczące aktywności naszych znajomych, stron, które polubiliśmy czy osób, które obserwujemy, porównać można do gry w jednorękiego bandytę. W obu wypadkach uruchomimy bowiem w swoim mózgu mechanizm, który ostatecznie zaowocuje pojawianiem się elementu przyjemności, nagrody. Tak przynajmniej twierdzi Tristan Harris, walczący od lat o etyczne projektowanie technologii. Podczas scrollowania ludzki mózg dostaje potężny zastrzyk dopaminy, o który będzie się odąd wciąż dopominał. Jeśli nie opanujemy trudnej sztuki nawigowania sobą i swoimi wyborami, w szybkim czasie wpaść możemy w kompulsywny nawyk bezustannego pozostawania *online*. Wydaje się nam, że nas to nie dotyczy? A czy rano przeglądanie aplikacji smartfona nie jest przypadkiem pierwszą czynnością, którą witamy nowy dzień? Czy nawet do łazienki nie wędrujemy z telefonem przyklejonym do dłoni? Czy nie zabieramy go do sypialni, by stał się naszą niańką przed wieczornym snem? W końcu śpiewa ciekawsze kołysanki i jeszcze tak intrygująco miga kolorowymi światełkami.

Błogo uzależnieni, nie zdajemy sobie sprawy z tego, że jesteśmy zmanipulowani. Kieruje nami grupa około 50 projektantów z Kalifornii, będących białymi facetami około 30. roku życia. Należymy do otumanionych cyfrowo mas, które stanowią aż 2 miliardy ludzi na świecie. Myślimy w jeden określony sposób – tylko dlatego, że jakiś facet w Google zdecydował, że tak a nie inaczej mają wyglądać powiadomienia w telefonie. Technologia sprytnie przejmuje nad nami kontrolę, co znalazło już nawet osobną nazwę: kapitalizm inwigilacyjny. Co niepokojące, epoka dezinformacji zaczyna wypierać epokę informacji. Zewsząd atakują nas w Internecie „silniki manipulacji”, a my im jeszcze pomagamy, ufnie wręczając do rąk sznurki, za pomocą których mogą nami sterować. Szczególnie nastolatki podatne są na naciski świata wirtualnego, nasilają się wśród nich przypadki zaburzenia zdrowia psychicznego. Mówi się wręcz już o nowej jednostce chorobowej, którą określa się mianem „dysmorfii snapczatowej”. Objawia się ona tym, że młodzi ludzie gotowi są poddać się operacjom plastycznym, byle tylko upodobnić się do swoich internetowych, profilowych zdjęć z filtrem upiększającym. Już maluchy bez końca wpatrują się w świat YouTube Kids, a gdy podrosną - uzależniają się od lajków i serduszek na Facebooku, zaś jako pracownicy – nałogowo przeglądają pocztę elektroniczną. Och, doprawdy? Nawet ja robię to zbyt często... Daje to chwilowe, krótkotrwałe odczucie wzmocnienia psychicznego, jest rodzajem elektronicznego smoczka.

Umiejętnie i podstępnie władzę nad nami przejmuje sztuczna inteligencja (z języka angielskiego *artificial intelligence*, AI). W firmach takich jak Google - to olbrzymie pomieszczenia, w podziemiach oraz pod wodą, wypełnione niekończącymi się rzędami komputerów. Wszystkie one są

ze sobą połączone i obsługują wiele programów o różnym stopniu skomplikowania. Niektóre z nich są prostymi algorytmami, ale inne są tak zawiłe, że można je bez wątpliwości nazywać maszynami o pewnym stopniu inteligencji. Według amerykańskiej badaczki danych Cathy O’Neil, algorytmy są w rzeczywistości zakodowanymi opiniami, które w żaden sposób nie są obiektywne. Jest zdania, że są skrojone na pewien rodzaj sukcesu. Jeśli podlegają wykorzystaniu przez komercyjną firmę, jej głównym celem jest własny zysk, a nie kierowanie się moralnością czy etyką. Skomplikowane algorytmy mają jak gdyby rodzaj własnego, wirtualnego umysłu i choć stwarza je człowiek, algorytmy z czasem zaczynają się samodzielnie przeobrażać. Szybko uczą się ludzkich zachowań w Internecie, zapamiętują człowiecze wybory i przewidują je coraz skuteczniej. Podsuwają nam nie te treści, które rzeczywiście fizycznie wybieramy, ile te, które według nich moglibyśmy wybrać. A człowiek, istota dość leniwa, zdaje się na wybory maszyny, czyniąc się w laboratorium internetowym swoistym ludzkim królikiem doświadczalnym. I nawet w zasadzie nie zdaje sobie z tego sprawy.

W Internecie sztuczna inteligencja, ten w sumie jednak niematerialny twór, jak na dłoni „dostrzega” wszystkie nasze wady: polaryzację, uzależnienie, radykalizację poglądów, próżniactwo. I bezwzględnie ową wiedzę wykorzystuje. Jeśli myślimy, że jest jeden i ten sam Internet dla każdego, to bardzo się mylimy. Nawet popularna wyszukiwarka Google każdemu z nas może podsunąć w rekordach inne wyniki wyszukiwania. Wszystko zależy od naszej lokalizacji i zebranych przez nią wcześniej danych na nasz temat. Różne treści we wspomnianym już przeze mnie *news feedzie* odnaleźć można nie tylko na Facebooku, ale również na kanale YouTube. To niestety oznacza coś niepokojącego i dość nieprawdopodobnego: każdy internauta ma swój świat, z własnymi faktami, sprofilowanymi przez algorytmy pod jego „internetową sylwetkę”, zbudowaną przez sztuczną inteligencję. Trafiamy we wspomnianą już wcześniej bańkę informacyjną, wydaje się nam, że wszyscy wśród naszych znajomych w mediach społecznościowych coraz częściej zaczynają się z nami zgadzać. Przecież w naszym prywatnym *news feedzie* znajomi nam potakują! Nie wiemy, że to AI dobiera nam stosowne treści, otacza nas coraz ciśnień przede wszystkim osobami, które mają niemal identyczne z nami poglądy. Nawet gdybyśmy chcieli, nie daje nam szansy, byśmy zapoznali się z odmiennymi punktami widzenia. Trafiamy do jednego z milionów odłamów internetowych zakonów o bardzo ścisłej regule: obce poglądy precz!

Każdy z użytkowników Internetu w ten sposób coraz bardziej zaczyna obcować z innymi zbiorami faktów. A przecież fakty powinny być jednoznaczne, niepodważalne. Gdy proceder ten dzieje się na większą skalę, nie jesteśmy w stanie przyjąć do wiadomości informacji sprzecznych ze sztucznie wypreparowanym światopoglądem. Przystajemy być obiektywni, zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy. Internet dla wielkich firm - zamienia nas z użytkowników w produkt. Przyjęty przez nich model biznesowy zakłada, że nasza uwaga jest na sprzedaż, a kupcami są reklamodawcy. A czym najlepiej przyciągnąć naszą uwagę? *Fake newsami!* Według badań na Twisterze, rozprzestrzeniają się sześć razy szybciej niż fakty. W świecie Internetu funkcjonuje system, który wyraźnie faworyzuje więc informacje fałszywe. I to nie dlatego, że od-

Artur Dudziński

Jęk

biorcy ich wyraźnie chcą, tylko dlatego, że światowym gigantem reklamowym przynoszą większe zyski. Ich model biznesowy polega na... dezinformacji. Świadomej, podanej odbiorcy z zimną krwią. Największe zyski generują niekontrolowane, abstrakcyjne treści, a prawda jawi się jako... nudna. Działacze walczący o etyczne projektowanie technologii obawiają się, że Facebook jest prawdopodobnie największym narzędziem perswazji w dziejach. Nigdy wcześniej nie działało równie skuteczne narzędzie do sterowania ludzką populacją. Strach więc pomyśleć, jak mógłby być wykorzystany przez autokratów czy dyktatorów. Niepokojący jest na przykład fakt, iż w Birnie Facebook utożsamiany jest przez użytkowników z Internetem. Sprzedawcy smartfonów od razu wgrzywają kupującym aplikację z Facebookiem i zakładają tam konta, więc dla wielu z nich – wydaje się on być właśnie sednem Internetu. Szerzona tam przy okazji mowa nienawiści, skończyła się zbrodniami przeciw ludzkości. Niestety, ekstremiści na całym świecie coraz chętniej korzystają z tej aplikacji, szybko i tanio przetwarzając zmanipulowane treści. Bez przeszkód destabilizują nastroje społeczne, manipulując innymi państwami bez fizycznego przekraczania ich granic. Szerzą przy tym często przemoc na tle rasowym i podziały społeczne.

Niezwykle jest to, że media społecznościowe wpływają nawet na tych, którzy ich nie używają. Traktuje się je więc poniekąd jako „cyfrowego Frankensteina”, który zniekształca świat, dyskurs polityczny i wpływa na zdrowie psychiczne dzieci oraz młodzieży. Wszystkie te niezwykle, poruszające opinie dotyczące mediów społecznościowych, poznać można podczas oglądania dokumentu z roku 2020, zatytułowanego „Dylemat społeczny” (*The Social Dilemma*), w reżyserii Jeffa Orlowskiego. Film w zakończeniu pozostawia jednak nadzieję: cyfrowe monstrum można zatrzymać. Jednym ze sposobów jest opodatkowanie posiadania i gromadzenia danych osobowych w Internecie, by przechowywane je firmy w jakiś sposób kontrolować. A użytkownikom przyda się roztropność i częsta cyfrowa abstynencja.

Marek Słomiak

nirwana

twoje oczy wezbrały krystalicznie
tak wyraziście dotknęły struny
mojej liry oddechu – przegrały
sarabandę tej chwili jedwabnej
jakby chustą zwiewności muskały
wrażliwą powłokę uśmiechu – więc
jesteśmy niczym lekki powiew snu
przemykających dźwięków słuchając
nawzajem to krótkiego songu uczuć
to znów długiej symfonii pieśniod

wezbrały teraz wszystkie źródła
czystości – tak – krystalicznie ożywcze
jak ta chwila trwająca stale w przeżywaniu
nirwany bycia w tobie - -

Jęk, to Bucza i Mariupol. To konająca matka obojga imion. Coś, czego nie znają słowniki zmieszane z ziemią, szczątkami ciał i zdradzonymi spojrzeciami dzieci. Czego nie znają gwarancje i umowy. I uściski prezydenckich dłoni w gasnących oczach i błyskach mdlejących fleszów.

Nie pozna jęku nic, co jękiem nie jest. Jak śmierć nie pozna życia.

Jak to możliwe? - słyszę. W słownikach, gdzie gości jęk, wszystko się zmieści i wszystko jest możliwe. I to, co nieprawdopodobne, i to, co nieludzkie. Jeśli kiedyś w Mariupolu i Buczy zawisną firanki, jęk pomknie bruzdami piwnic, otoczy mchem pierścienie cokołów, grzybem przeżre sny nowej Europy. Na twarzy matki obojga imion będzie jak bruzdy zasianego czasu. A jeśli matka na miejscu twarzy ma dziurę? Głos, który słyszy Poetka jest jękiem dziury zmieszanej z ziemią, szczątkami głów, porzuconych na ulicach kończyn. I tamtych spojrzeń.

Jak głęboko? Jak bardzo w planecie życia, jęk musi zapuścić korzenie? Trzeba mu przebić się na wylot? Otoczyć głowę Ziemi rysunkiem cierni? Na jaki owoc? Na jaki kwiat czekamy? Warszawa. Leningrad. Aleppo... Gdyby zrosły się korzenie jęku miast z dziurami zamiast twarzy, zmiotłyby historię i pamięć.

Jak długo? Po co i dla kogo? Dla czyich dzieci? Książki palone przez nazistów krzyczały, że świat może być lepszy. Krzyczały kłamstwami. Które słowa będą jutro gwarancją? Czy odnajdą desygnaty? A jeśli te stoją już na cmentarzach słów pełnych ziemi zmieszanej z wejrzeniami oszukanych? Coś, czego świat nie pojmie - widzę! - pomknie bruzdami piwnic, otoczy mchem pierścienie cokołów, grzybem przeżre ściany snów i rozsądzi telewizje karmiące nas spokojem współzucia. Na koniec: obetnie nogi spętane wzburzeniem.

Matko dwojga imion: Buczo i Mariupolu... Nie przebaczasz jak Aleppo, Leningrad i Warszawa.

Słowa! Przebaczcie dzieciom, że nie zdążyły wam uwierzyć, że nie zdążyły was nie pojąć.

Upierne oblicze walca Szostakowicza gdziekolwiek się ruszę. Jak Poetki głosy... Jak jęk Buczy i Mariupola... Jak tożsamość matki obojga imion... Słyszycie go wzrokiem? Ja - słyszę.



Zdzisław Czwartos

Piórko

Gdybym miał moc czarownicą ,
już bym nie był człekiem ,
jeno ptakiem.
Nie, nie, nie
nie ptakiem ,
raczej piórkiem ptaka,
które razem z ptakiem gdzieś
w obłokach lata ...
Szybowałbym wspaniale ,
o niczym nie wiedział ,
byłbym tak spokojny,
tak bym cicho siedział
i...milczał .

Sławomira
Sobkowska-Marczyńska

Do Ciebie

Uspokój
moje pytania
o początek i koniec,
o przenikanie się dobra i zła,
o zniewoloną wolną wolę
obciążoną brakiem pewności,
o wiarę w modlitwę
klęczących przed ołtarzem,
o istotę milczenia,
o Ciebie, Boże.
Wybacz
nieporadną codzienność,
rozproszone skupienie,
rozbiegane natchnienia,
niepobierane dary.
Zrozum
usilne starania,
aby być lepszym,
niż się jest.
Podaruj
jeszcze jedno
tchnienie siebie.

Eugeniusz Toman

Czas wyjść ze strefy cienia

Czas wyjść ze strefy cienia
czas pojąć ten ból
kto miał świętą rację
kto tylko złudzenia

Ten był zwykłym głupcem
a ten hochsztaplerem
ten chciał zostać mędrce
a ten ziemskim bogiem
ten szatę wdział króla
a ten czarną togę

Czas wyjść ze sfery cienia
czas pojąć ten spór
czym jest nowa wiara
czym są zmyślenia

Gdzie prawda ukryta
co to nieomyślność
gdzie się wróg zaszywa
i kim jest przyjaciel
co niesie idea
a co pożądanie

Czas pojąć ten świat
czas ukoić ból

Danuta Ewa Dachtera

Sprzątając

Przygotowuję dom do odnowy
Nie sama
- razem
Tyle skojarzeń
wspomnień...

Coraz częściej myślę o naszych
tak ważnych wspomnieniach:
spotykamy się
bardziej lub mniej na krótko.
I o co te żale?
Wracamy, jakże chętnie,
do innych już ludzi.

Co kochamy?
Te nasze ślady w pamięci
- obrazy tak podobne
niszczące druzgocząco.

A kim jesteśmy
- my sami?

Maria Magdalena Pocgaj

Nadal minus osiemnaście

29 stycznia 2019

Byliśmy na popasie z dwoma reniferami. Anta szedł skrajem lasu, zrywając porosty dla kroczącego za nim Gaavalohke. Na nartach mógł wchodzić głębiej w las, gdzie puchu znacznie więcej i lepsze porosty. Ja asekuranko trzymałam się ubitego podłoża, a za mną dreptał mały Gnisli. Zupełnie jak łoszak za wają, spokojny i ufny. To było wzruszające! Raz po raz Anta podawał mi wiązkę porostów. Cielak wyszarpywał te smaczne „pakuły”, zgrzytając zębami. Stąd jego imię – Zgrzytek, czyli Gnisli. Przez ocieplane spodnie czułam dotyk jego pyska. Kiedy się odwracałam, widziałam tuż za sobą futerko oprószone śniegiem, duże brązowe oczy i dwa małe rożki.

Gaavalohke w koronie rogów budził prawdziwy respekt, zwłaszcza u mnie. Ale przekupić go porostami nie miałam zamiaru. Anta karmił go przywoicie, wolałam dogadzać małemu. W pewnej chwili nasza sielanka została zakłócona, bo do lasu na ryczącym skuterze wjechała dziewczyna. Musiała akurat tym duktem? Bałam się, że Gnisli się przestraszy i wpadnie pod pojazd. Nie miał smyczy, chwyciłam go więc za obrozę i przytrzymałam mocno, jak najbliżej siebie. Ale on sam jeszcze bardziej do mnie przylgnął i spokojnie odczekaliśmy, aż smok przejedzie. Anta zawołał ze śmiechem:

- To teraz jesteś dziewczką od renów! Poczulałam satysfakcję.

Do domu wróciliśmy po blisko trzech godzinach cudownej, naturalnej krioterapii.

W kuchni coraz ciemniej. Piszę przy małej lampce punktowej, jaką mają chórzyści w mrocznym kościele do czytania nut. Anta dostał ją jako członek choru. Makaron dochodzi, herbata się zaparza. Mróz przenicował mnie do szpiku kości, za to czuję się polarnie dotleniona. Zegar tyka jak świerszcz, radio szwedzi. Anta przynosi z piwnicy wiadro świeżo naciętych szczap. Ich żywiczny zapach pobudza moje kubki smakowe. I nagle w kuchennym, mrocznym zakątku zaczyna chrypieć Janis Joplin. To „Kołysanka” Gershwin, chyba najlepszy kawałek z jej repertuaru. Zegar wybija dziewiętnastą. Pora rozruszać kości na zewnątrz (...)

Przepadłam na dwie godziny. Idąc na kąpiel, w miarę oddalania się od Villagattan, nie wiedząc czemu czułam dziwny niepokój. Bądź co bądź bezkresne, czarne niebo usiane gwiazdami i świadomość, że poza mną nie ma nikogo na tym bezludziu, robiło wrażenie. W świetle czołówki drzewa były bielutkie, gdy ją zgasiłam, wydawały się szare. Spod puchu wystawały gałęzie, jak poroża zasypanych rogaczy. Wzdłuż trasy, w śniegowych bandażach sterczały wielkie szkielety. Nigdzie żywego ducha! Całe szczęście, bo serce by mi chyba wyskoczyło na śnieg, gdyby nagle ktoś się wynurzył z ciemności.

Przemarznięta wracałam po własnych śladach. Były spore, wszak noszę tu buty o dwa numery większe, żeby zmieściły się dwie pary wełnianych skarpet. Na równoległym dukcie akurat pracowała maszyna do ubijania śniegu. Oślepiające reflektory i solidne gabaryty czyniły z niej w mroku

istne monstrum. Nie wspomnę o hałasie, jaki rwał na strzępy leśną ciszę (...)

PROTOKÓŁ
kulturalny

Nr 82/2022

Wchodząc do ciepłej kuchni, uzmysłowiłam sobie, że teraz ja, z czerwoną twarzą i białymi włosami wyglądam co najmniej jak gwiazdor do straszenia dzieci. Zwykle upodabniał się do niego Anta, wracający z lasu. Zdjąwszy czapkę, wysuływałam z niej grudki lodu, a z włosów mnóstwo brylancików. Zima ma swoje uroki.

Piecykowy żar dogasa, w radiu wybrzmiał właśnie wiersz na koniec dnia i zegar na sztokholmskim ratuszu wybił północ. Nagle słyszę głos Anty:

- Mam tu „Kopnięcie łosia”...

No, to jest argument, którego zlekceważyć nie można! Sama przywiozłam mu butelkę tego biebrzańskiego specyfiku pod obiecującą nazwą. Nabyłam ją na Podlasiu, od Króla Biebrzy. Na etykiecie pięknie odwzorowany zwierz i ostrzeżenie, że „kopie”, bo trunek mocny. Anta miał go wypić razem z Göstą. Chyba nawet spróbowali, ale większość gorzałki została.

Porzucamy legowiska. Na taborecie służącym za stolik ładuje cenna butelczyna. Anta przyniósł ją z nieopalanego pokoju, a więc mocno schłodzoną. I dwa zimne kieliszeczki.

Łoś wyraźnie domaga się wyjścia z butelki. My w tym czasie przetrząsamy światowe tematy: od polityki, przez literaturę, do muzyki. Zapijamy zimną colą. Czas mija w poczuciu coraz większej nieważkości.

Ale zdecydowanego „kopnięcia” nie było. Pozostało uwięzione w butelce, do następnego razu...

1 lutego 2019

Mój dzisiejszy spacer nieoczekiwanie zakończył się zawrotnym biegiem przez zaspę. Nomen omen, na wygładzonej, białej nawierzchni dostrzegłam ślady racic, z obrysem trzech grubych palców i krótkim z boku. A więc szedł tędy samotny rogacz. Czyżby Gaavalohke?! Rozejrzałam się z lekkim niepokojem, ale w zasięgu wzroku nic się nie poruszało, ani nie biegnęło w moim kierunku. Spokojnie ruszyłam więc w stronę wyciągu orczykowego. Wdrapałam się na grubo pokryty śniegiem mostek dla skuterowców, wchodzący w skład trasy narciarskiej. Dla jadącego na skuterze stanowi namiastkę skoczni.

Spokojnie robiłam zdjęcia. Nagle na mostek, z którego niedawno zeszedłam, wbiegł renifer. Wspaniale się prezentował na tle białych świerków. Miał rozłożyste rogi i z wysoka lustrował teren. Będzie fajna foto, pomyślałam. I wtedy mnie zauważył. Zdrętwiałam: przecież to Gaavalohke! Jeszcze mi wytrąci z ręki aparat, jak będzie chciał bój, przemknęło mi przez głowę. Zgrabiętymi palcami usiłowałam upchnąć Benga w futerale. A rogacz już szarżował w moją stronę. Rzuciłam się do ucieczki, nie bacząc na głęboki śnieg. Przez dobrą chwilę biegliśmy obok siebie, jak na wyścigi. Myślałam, że wyzionę ducha. W końcu wysforował się o kilkanaście metrów i przystanął. Odwrócił się i czekał na mnie, kiwając rogatym łbem. Zdesperowana wymachiwałam rękami: a sio! a sio! Dochodząc do niego, szeroko rozstawiłam ręce.

Fragment przygotowywanej do druku książki pt. „Mój lapoński sen 2.”

Punkt patrzenia

fragment

W głowie słyszę jednocześnie Kendricka, Bacha i dramatyczne zawrodożenie Lany.

Jakoś odciąć się trzeba od tego, co jest takie ślicznie uporządkowane. Z drugiej nawet muzyka opiera się na jakichś uszeregowanych zasadach i powtarzalności, coś jak matematyczne ciągi Fibonacciego. Widzicie? Właśnie dlatego świat, gdzie każdy miałby dom w samym sobie, byłby łatwiejszy. Nie byłoby problemu z próbą kojarzenia wszystkiego ze sobą. Żadnej potrzeby wierzenia w czyjeś teorie, które się przyjęło, bo tak, bo mądrze i rozsądnie brzmią, bo ktoś wyjął to z tego umysłu. Trzymanie całego świata w głowie pozwala na taką dawkę intymności i poczucie bezpieczeństwa, a jednocześnie kreatywności i cieszącej niepewności tego, co jeszcze się tam skrywa, bez ograniczania się. Oczywiście, najlepiej dla takiego doświadczenia wyzbyc się konfrontowania tego ze współczesnym światem, który krytykuję od lat (uspokoję was, bo nawet na to wymyślili w końcu sposób). Lubię kontrolę tego co moje i jedyne, wpływam na to, co myślę i z czym kojarzę widziane rzeczy. Może niebo tak naprawdę jest nieokreślonego koloru, tylko kiedyś ktoś krzyknął i zlepili niezrozumiałe dźwięki w litery, a potem w słowo „niebieskie” i tak już zostało. Dla mnie taki niebieski mógłby być zielonym. Przecież zawsze można było zamienić te nazwy, jaki problem. Tak widzę dom, jako niczym nieograniczone pole manewru, jednocześnie indywidualne, nie kierowane zasadami, bez ingerowania w to, co wierzę.

Problem jest taki, że gdziekolwiek się obróć, ludzie mówią: tak, to tu jest twój dom, to język twojego narodu, to twoja kultura. Co się dzieje, gdy tego nie odczuwam? Jestem uchodźcą swojego umysłu, który mógł tak pięknie kwitnąć, gdyby tylko indywidualnie go rozwijać. Muszę przez chwilę się z nimi pojednać, żeby mieć spokój. Ostatecznie jednak zrozumienie, że mój dom to nie ta stara budka, jak zwało się za dzieciaka własny pokój, było najlepszą rzeczą na świecie. To nie była TA dziura u rodziców w mieszkaniu, w której dzień w dzień człowiek kiedyś spał, pisał okropnie niewdzięczne wiersze i gromadził sterty maminej porcelany, zwanej kubkiem bądź filiżanką. Moim domem jest imaginacja i drażnienie w odrealnionym świecie. Wyobrażacie sobie jaki majątek tam posiadam? Nie, bo jest on nieograniczony ludzką wolą. Jak szczęśliwym można być i patrzeć na siebie z każdej perspektywy? Nie, bo to zależy ode mnie, od jednostki, która nadaje nowe znaczenie słowom, które już istnieją – to coś niesamowitego. Niematerialne, jak i materialne rzeczy, które powstały z pewnej idei i wypłynęły w świat, takie jak język, kultura zawsze kojarzą się tylko z daną grupą, ośrodkiem... Ja tego nie kupuję, chcę czegoś swojego, co nie będzie kojarzyć mi się z otoczeniem i szeregować napotkanych ludzi. Chcę czegoś odwrotnego, przewrotnego, a jednocześnie będącego zawsze przy mnie. Myślę w języku, którego zdefiniować się nie da. Fakt, obecnie rzeczy z przeszłości tworzą środowisko, które ludzie nazywają domem. Cóż, zbyt późno przyszło mi pojawić się na świecie. Z drugiej strony dla mnie budowanie ta-

kiego domu i świadome przywiązanie do niego nazywa się okłamywaniem jednostki. Dzieje się to na takiej zasadzie, jak użycie jakiegoś fragmentu Biblii tylko po to, by wytłumaczyć dzieciom, że mówimy w różnych językach, że Bóg tak chciał i obecnie uznajemy to za świętość. Przepraszam wierzących, ale gówno prawda. Najpierw czyta się, że to kara za nieposłuszeństwo, a potem uczy ludzi, że ten wyodrębniony język, posiadany wedle upodobania stworzenia nadludzkiego wyróżnia nas, a nawet powinien cieszyć (z kolei jak by nie patrzeć, zawsze dzieli on społeczeństwo i będzie czynnikiem motywującym nienawiść, tak pogrążając się dokończę tę kwestię). No to jak to jest z tworzeniem tego domu, który jest taki odrębny, a z drugiej ma należeć do pewnej gromady stworzeń przyjmujących takie same poglądy. Nie mówiąc o tym, że każdy opisuje ten dom jako coś tylko swojego, jedynego i niepowtarzalnego.

Co powiedzieć mają ci, którzy utracili już ten zmaterializowany dom? Nie wiem, to od was zależy, czy stworzycie sobie nowy, czy dostosujecie się do czyjegoś misternego planu.

Dla osoby, która nie utraciła nigdy swojego domu (w jakiegokolwiek postaci on był) logiczne jest, że raczej nie wyjdzie z bezpiecznej oazy, którą otrzymała rozpoczynając swój żywot. Jest też szansa, że nie podoba jej się miejsce, które inni wybrali na dom lub elementy, jakie się składają na jego definicję. To zdecydowanie nie sprzyja indywidualnemu rozwojowi. Ja swój dom kocham. Kocham rzeczy, których dosięgnę tylko ja, które są ze mną na zawsze, których nie nauczę kogoś z zewnątrz. To właśnie powinien być dom każdego z nas, to utrzymuje człowieka przy życiu. Kultury można się wyprzeć, język zmienić, stworzyć nowy świat, ale nie głębi umysłu.

Weźmy taki oto scenariusz życiowy, żeby dobitniej przedstawić problem z punktu widzenia, w jakim się znajduję: Najpierw uciekaliśmy przed kryzysem gospodarczym. Pomińmy fakt, że zbieraliśmy się do tego 10 lat. Szczęście w nieszczęściu stracić po tym czasie spacony już budynek, w którym się mieszkało. Czasem są takie wielkie umysły, które nie potrafią wynegocjować pokoju na świecie i aż żal mi ich, bo najwyraźniej użycie wyobraźni musiało ich bardzo boleć. Bolało do tego stopnia, że jednostka zaczęła uciekać się do rozwiązań dużo prostszych. Teraz przynajmniej nie będę żyć z myślą, że jakaś babcia kiedyś zamieszkała w tym samym pokoju, co ja kiedyś, ze swoimi kudłatymi kotami, powiesi szare od dymu ulicznego firanki i postawi doniczki z pomidorami na podłodze. Koniec końców wyjechać trzeba było, bo błagam was, to co zostało, to nie były nawet gruzy. Pył taki, jak po starciu tablicy przez okropnego belfra, który zamiast zmoczyć gąbkę gnębi uczniów jeszcze wzbogacaniem powietrza pyłem kredowym. Przynajmniej teraz mam powód, żeby nazwać mój podmiot liryczny uchodźcą, chociaż brzmi to tak samo głupio, jak nazwanie siebie czymś ex (ha, zniechęcone przeze mnie kategorizowanie ludzi). Tak, stracił on dom, który fizycznie kiedyś może zostanie odbudowany. Może odczuwać fizyczną i psychiczną pustkę. Może być zły. Czas ulecy rany... no bo czego ten czas jeszcze nie robi. Podobno płynie, aczkolwiek nie widzę nigdzie tego ruchomego strumyka. Ma on z czasem powiększać się, pogłębiać i ostatecznie i tak zakończyć swój bieg w jakimś bardziej, czy mniej zasolonym basenie wodnym... Wracając. Równie dobrze moglibyśmy nie pojawić się na świecie właśnie

w tym momencie, w jakim jesteśmy. Wielka loteria materii wszechświata. Wtedy dom byłby inny, miałyby wygląd jakiegoś szałasów albo średniowiecznego zamku, a może średniowiecznego szałasów (dziecinne zestawienia). Jedyne umysł przez te niedomknięte drzwi, jakie w nim się znajdują jest w stanie wpuścić świeżą ideę i ułożyć niezależne od czasu nowe scenariusze, dlatego utrata miejsca zamieszkania ostatecznością nie jest. Wiem, że są też aspekty uczuciowe. Bardzo pociąga człowieka myśl, że jest przynależny do jakiejś grupy, że może być potrzebny, a fizyczną prezentacją jest budowanie świata z wielu dokładanych, jedna po drugiej cegiełek. Człowiek to jednak zwierzę typowo stadne. Dlatego nie dziwię się, skąd te wszystkie próby tworzenia ogniska domowego, bez tego nie wszyscy by przetrwali. Mi z kolei dajcie żyć w świadomości, że znaleziony został najprawdziwszy dom. Dom nienaznaczony historią obcych. Dom tworzący przestrzeń do wyrażenia swojego istnienia. Dom otwarty na nas. Nasz umysł.

I nagroda XIX konkursie literackim dla młodzieży „O złotą wronę” we Wronkach.

Sławomir Krzyśka

Z miłości do książek

Rycerski Zakon Bibliofilski w Krakowie*

Dominacja elektronicznych środków przekazu zdaje się usuwać w cień słowo drukowane, ale wbrew alarmującym przewidywaniom pesymistów prasa a zwłaszcza książka „trzymają się mocno”. Nie zamarł też elitarny ruch bibliofilski zrzeszający miłośników, znawców a także zbieraczy cennych książek, broszur i druków ulotnych. Dawna to tradycja jak stara jest księga – pierwotnie oczywiście pisana. Tym, którzy ubolewają nad nieubłaganym postępem techniki można tylko wspomnieć, że wielki Platon nie był entuzjastą pisma. Uważał bowiem, że osłabia pamięć i w ogóle zdolności mentalne.

Sama nazwa „bibliofilstwo” powstała w średniowieczu. Po raz pierwszy użył jej angielski duchowny Richard de Bury w dziele *Philobiblon*, które ukazało się drukiem w 1473 roku. Dzieło to przełożył w 1921 roku Jan Kasprowicz pt. *O miłości do książek*. W Polsce właśnie w okresie dwudziestolecia międzywojennego rozwinęły się towarzystwa bibliofilskie. Wtedy też w Krakowie w roku 1930 z inicjatywy Kazimierza Witkiewicza erygowano Rycerski Zakon Bibliofilski z Kapitułą Orderu Białego Kruka. W okresie niemieckiej okupacji Zakon działał w konspiracji, a w nowych powojennych warunkach politycznych spotkania braci niezarejestrowanej konfraterni odbywały się coraz rzadziej. Spowodowało to podjęcie w 1963 roku przez Wielkiego Mistrza decyzji o jego „zakryciu”. Po śmierci Kazimierza Witkiewicza w 1973 roku jego syn Tadeusz Eugeniusz Witkiewicz, przy wsparciu żony Urszuli Walerii, podjął się organizowania w rocznicę imienin Kazimierza spotkań bibliofilów krakowskich nazwanych „Imieniami Książki”, a w roku 1992 dzięki ich wysiłkom i odnalezieniu notatki pisanej ręką Kazimierza Witkiewicza podjęto decyzję o „odkryciu” Zakonu. Wielkim Mistrzem Odrodzonego Rycerskiego Zakonu Bibliofilskiego został Tadeusz Eugeniusz Witkiewicz. Bibliofilów łączyła dbałość o tradycje Zakonu zgodnie z jego konstytu-

cją, według której: „Najwyższą cnotą Zakonu jest miłość do książek”. Tworzą go miłośnicy książek z różnych środowisk. Są wśród nich profesorowie uczelni krakowskich, artyści plastycy, bibliotekarze, antykwariusze i drukarze.

Po śmierci Tadeusza Eugeniusza Witkiewicza w roku 2001 Wielkim Mistrzem Zakonu został dr inż. Jerzy Duda i pod jego kierownictwem konfraternia prowadzi nadal swoje prace. Wobec braku stałego lokum, funkcjonując poza oficjalnymi instytucjami i niewspomagana finansowo, zależna jest jedynie od poświęcenia i pasji bibliofilów.

Trudno w krótkich słowach ująć wszystkie aspekty działalności Zakonu. Do najważniejszych należą uroczyste spotkania – „zmyslenia”, których nazwa pochodzi od myszki bibliofilskiej. Znaczącym przejawem działalności są organizowane we współpracy z Biblioteką Jagiellońską wystawy prezentujące cenne pozycje ze zbiorów bibliofilskich związane z pracami konfraterni i historią polskiej książki. Członkowie Zakonu biorą też czynny udział w zebrańiach i zjazdach miłośników książki w kraju i za granicą, wygłaszając odczyty i referaty. Popularyzują też swoje idee w prasie, radiu i telewizji. Nie można też nie zauważyć długotrwałych starań o utworzenie muzeum książki, której Kraków na polskich ziemiach był już w XV wieku kolebką.

W działalności Zakonu nie brak też elementów rytualnych związanych z ceremoniami, uroczystym strojem, insygniami i tytułami pełnionych funkcji, np. Jałmużnik, Pieczętarz, Orator, Typograf, Dama Książki czy Dostojna Makulatura.

Na zakończenie wspomnieć trzeba o istnieniu bogatego archiwum, gdzie pod okiem Wielkiego Mistrza Jerzego Dudy gromadzone są materiały dotyczące działalności Rycerskiego Zakonu, ważne także dla dziejów polskiej książki.

Jerzy Duda, Odrodzony Rycerski Zakon Bibliofilski w Krakowie w latach 1992–2020. Tom I. Lata 1992–2007, [Kraków b.r.].

Ewa Moskalik

Złudzenie

Myślimy
że żyjemy
a nawet
używamy życia

a to życie
idzie
przez nas
nie pytając o zgodę

bez skrupułów porzuca
wyschnięte koryta
pije z kolejnych źródeł
i kwitnie
kwitnie nieprzerwanie

A już był czas, że kacuszki...

fragment

Józef Kołoch (urodzony w Porębie koło Pszczyny) był łowczym w dobrach hrabiego Wilhelma Bolko Emanuela Hochberga von Pless (w Goraju koło Czarnkowa), organizatorem polowań, na które zjeżdżała elita myśliwych. W stanie półdzikim prowadzono hodowlę jeleni o olbrzymim porożu. Gdy na Śląsku opolskim zmarł stary hrabia – Wilhelm Emanuel, właśnie memu dziadkowi poruczono opiekę nad przewiezieniem zwłok do Goraju. Zachowała się (także w moim archiwum) publikowana we współczesnym piśmie „Łowiec Polski” dziadkowa księga polowań na jelenie. Znaczący i dziś podziwiający kunszt łowczego... Poróża, które były w moim rodzinnym domu – budzą respekt. Współcześni myśliwi często sądzą, że są plastikowe. Dziadek łowczy – zbrojny... Obok dwu dubeltówek i krótkiego parabellum, w szafie stoi „dryling”, broń nowoczesna i wszechstronna, bo z trzema lufami (jedna na kule). Bo z kłusownikami nie ma żartów. Jak wtedy, gdy pod Pianówką, na górkach, próbował z kolegą ze straży łowieckiej zatrzymać przestępcę, a ten uciekając – strzelił z grubego śrutu, raniąc w nogi współuczestnika akcji. O krok od śmierci. Ludzie wokół leśniczówki biedni, ziemia licha – piachy. Co do zjedzenia, to w stawach i lasach hrabiego... Tak więc dziadek łowczy ugania się za kłusownikami, a babcia Salomea, by go chronić, rozdaje biednym rodzinom mięso z polowania, ze świniobicia. Kobiety z Krucza pomagają jej w praniu, w gospodarstwie, w polu.

Każda wieś była inna, miała swą twarz, tradycję. Ba, bywało, że jeszcze i swą mowę. Babcia Salomea z Pianówki mówiła (unikając „ł”) – potrzebowała, chciała. Kiedy Stanisław Neumert zrelacjonował to gwarowe zjawisko prof. Monice Gruchmanowej – nie uwierzyła mu, posądziła o konfabulację. Wiele wsi mazurzyło, stąd i wymyślono teorię (dziś raczej skreśloną) o wieleńskich Mazurach, których tu ongi miał sprowadzić książę Sapieha. Była świadomość odrębności ale i wspólnoty. Mówiono więc ... „Od Roska do Wzescyny tam wsyko nase...” Zamieszkały w Gulczu, wspomniany

Stanisław Neumert (poeta, autor szeregu książek) opowiadał mi o sporach, animozjach sąsiedzkich. Bo jedne wsie były kiedyś „wolne”, inne pańszczyźniane. Tu pamięta się długo słowa, gesty, czyny. „Dej grosysek na nos kościółsek” kwestowali ongi gulczanie. Pamięta się też jak to straż pożarna w Rosku ćwiczyła tzw. odliczanie : „Rosko stroz, ilu was? Tsech! Dwóch na becke, dwóch na wóz ale juz!”

Wszyscy wiedzą, że blisko w Nowinie – przez las na Lubasz, mieszka kłusownik – mistrz w swej pasji. Często ojciec wstawał wcześniej na czaty, żeby go uprzedzić, to okazało się, że on był jeszcze wcześniej i już słycać było strzały. Kiedyś się spotkali w lesie, to on powiedział: „Kołoch, przestań mnie prześladować, ile razy miałem cię już na muszce, ale zawsze stanęła mi przed oczami

mi twoja żona i pięcioro małych dzieci, tylko to cię uratowało, inaczej lisy by cię dawno zjadły”. Często było słycać strzały, a ojciec nie wracał długo, to myśleliśmy, że już nie wróci. Dziadkowie Kołochowie mają dwóch synów i cztery córki. Jak mi która co przyniesie, zastrzele! Józef, ty tego nie zrobisz, przekomarza się babcia Salomea... Ale są i chwile grozy. Dziadek ciągle kopci fajkę z wiśniowym cybuchem, choruje, kaszle. Nagle fajka ginie. Nie ma. Jak mi nie oddasz, zastrzele się. Udręczony poszukiwaniami, przetrząsaniem wszystkich kąców, bierze flintę i idzie za stodołę. Pada strzał. I za węglą stodoły wychodzi rozszniewany dziadek, w rękach dwa dorodne króliki.

Mama – całe młode lata w Puszczy Noteckiej: Goraj, Kruteczek, Krucz-Las, Klempicz, Gniewomierz (Krucz). Sześcioro rodzeństwa, prawie każde z dzieci rodziło się w innej leśnej sadybie. Babcia Salomea (matka Joanny, mej mamy), z Paniówki koło Czarnkowa... Po śmierci mego ojca Władysława, namówiłem mamę, ciągle pełną świetnej pamięci, do napisania wspomnień. Okazało się, że dysponuje żywym piórem. Trudno mi nie przytoczyć fragmentu, w którym Joanna opisuje scenę z młodości swej babki Franciszki, służącej we dworze (u Swinarskich?) w Pianówce, koło Czarnkowa.

Babcia opowiadała, że za mieszkaniem służby, w ogrodzie był płot ze sztachet. Na tym płocie wieszano nocne naczynia (nocniki), a były to piękne naczynia z białej porcelany i złotymi kwiaty zdobione. Któregoś wieczora babka poszła po nocnik, by jaśnie pani na noc zanieść, okazało się, że nocnik zginął. Więc poszła powiedzieć, pani strasznie się rozgniewała i spoliczkowała ją, powiedziała, że z pewnością zbita i kłamie, że zginął. Po jakimś czasie posłano ją z jakimś poleceniem do ogrodnika.. W mieszkaniu liczna rodzina siedziała przy kolacji, a nocnik jaśnie pani pełen gorącego mleka stał na stole. Poszła do pani i mówi: „Nasz nocnik się znalazł, stoi na stole u ogrodnika pełen mleka”. Jaśnie pani uśmieła się bardzo i powiedziała: „Fraciu, ja już nie chcę go, smacznego im, smacznego”.

Karty wspomnień mojej mamy... Cóż się z nimi porówna? Blednie moja pisanina...

W kuchni pod oknem stał stół, przy którym jedzono, latem okno było zawsze otwarte, co roku koń (klacz) rodził śliczne źrebki, które przez okno wsadzało głowę nad stół i wyszczerzało zęby, żeby dostać cukier w kostkach, a wujek Mikołaj o wyszczerzone zęby źrebaka rozbijał jajko, które źrebak wypijał. Nie zapomnę, jakie u dziadków były wspaniałe gruszki, cukrowki, winiówki, ćwikłanki, czerwony miały miąższ, nie spotyka się tych gruszek.

Największa radość to było sprzątanie po zimie na święta, wtedy wynoszono wszystkie meble z mieszkania i ściany bielono wapnem, również ściany domu na zewnątrz na biało. Potem ustawiano wszystko z powrotem, a do łóżek przynoszono snopy słomy, która cały dzień leżała na słońcu. Jak ja lubiłam po tej słomie wyskakiwać, a Janince wszystko było wolno. Wszystko było myte i na swoje miejsce ustawiane, pachniało czystością. W Zielone Świątki obowiązkowo tatarak w mieszkaniu i na oknach. (...).

Zamożni kawalerowie w zaloty jeździli konno, w siodle. Pracował w Sierakowie przy ogierach bardzo przystojny pan Urlewicz. Bardzo kaleczył polską mowę. Pewnej niedzieli przyjechał na pięknym koniu w zaloty do ogrody. I tak się przed-

stawił: „*Ich bin ogier aus Sieraków*”. W jednym zdaniu chciał wszystko powiedzieć, kim on jest i jaką pracę wykonuje. Była to pierwsza i ostatnia wizyta. Ożenił się do Bielaw, ale bardzo młodo zmarł.

Albo ta opowieść o niedoszłym narzeczeństwie Salomei mej babki z Waławem Nowakiem, spadkobiercą gospodarstwa i wiatraka na górcie, na hubach w Lubasz (stoi tam i dziś wiatrak, przywieziony dla tradycji, dla dekoracji, z innego terenu).

Wracam do mej matki chrzestnej z Hubów, miała bardzo przystojnego syna Waławę, który zachodził do mej mamy, jak była panną. Umówili się na zabawę. Dziadek kupił właśnie mamie piękne buty, gdy usłyszał, że wybiera się z Waławem na zabawę, schował mamie buty, w obawie że zniszczy zelówki. Mama opowiadała, że z płaczem przeszukała cały dom i nie znalazła. Wczorazem, gdy Waław przyszedł, by iść na zabawę, zapłakana mama powiedziała, że ojciec schował jej buty i nie pójdzie. Waław bardzo się obraził i już więcej nigdy nie przyszedł.

Bo w domu Józefa – sołtysa (urząd pełniony za Niemca przed pierwszą wojną i po wojnie) patriarchat. To on trzyma kasę, robi zakupy w Czarnkowie. Kupuje buty żonie według odmierzonego patyka. A kapelusze na jej głowę, zdobne w sztuczne kwiaty, według swojej głowy. Podwórka pilnuje pies w budzie, przy obroży ma medal. To odznaczenie dla syna Józefa – Mikołaja, od Niemców „za znalezienie francuskiego drutu” w okopach pierwszej wojny.

Jest i opis tak zwanej pustej nocy:

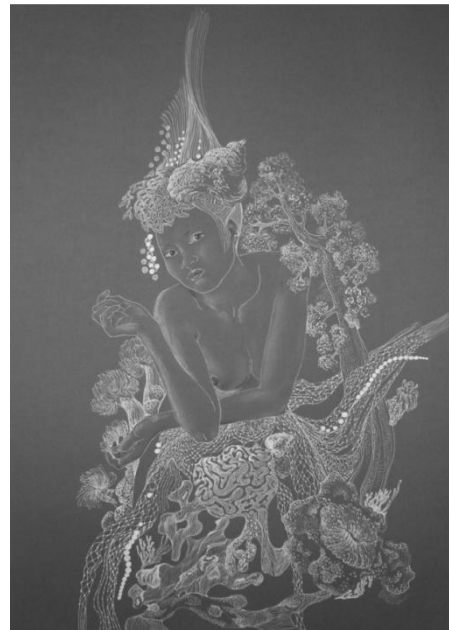
W leśniczówce Gniewomierz, mając jedenaście lat, pierwszy raz spotkałam się z tym obrzędem. Jeśli zmarł ktoś z sąsiadów, to wieczory poprzedzające pogrzeb, zbierali się sąsiedzi na modlitwę za zmarłego, od godziny dwudziestej do dwudziestej czwartej. W pokoju stał długi stół nakryty białym obrusem, na środku stał krzyż, świece, naczynia ze świeconą wodą i kropidło. Lamy naftowe wisiały na ścianach, oświetlały izbę. Na tę pustą noc przychodziło dużo ludzi, też młodzieży. Mówiono różaniec i śpiewano dużo pieśni przygodnych. Jeszcze mam w uszach melodie pieśni, „Zmarły człowiecze, z tobą się żegnamy”. Była to bardzo smutna pieśń. Rodzina zmarłego siedziała przeważnie w kuchni lub sieni, gdzieś po kątach i płaczem zawodziła.

Albo ta opowieść o pozaszkolnych obowiązkach dzieci...

A już był czas, że kacuszki miały z jajek wychodzić, więc by się nie zmarnowały, Miecię położono do łóżka i wzdłuż jej ciała ułożono kacze jajka i na drugi dzień kacuszki dziobkami pukały, robiąc dziurki i wychodziły z jaj. Co to była za radość, odkrywaliśmy pierzynę i liczyliśmy kacuszki, jakie one były miłe w tym łóżku, tak mi się to podobalo, że z trudem nas wygoniono do szkoły.

Zapiski Joanny skrzą się od kolorowych typów, charakterów, zdarzeń. Żydowsky kupcy nawiedzający leśniczówkę w poszukiwaniu skór, szklarz kataryniarz, druciarz od garnków, obieżyświat z wróżącą papugą, szlifierz ostrzący noże, wędrowni dziady. Mówiło się: *Ty śpisz, a diada idzie już z trzeciej wsi*. Takie są te opowieści, niewolne od niemieckiej składni niektórych zdań, bo ich autorka już od dzieciństwa była dwujęzyczna. *Hosen mit langen Spitzen!* Rygorystycznie domagała się mała strojnisia, majtek z długimi koronkami. Zimą do zakopanej w śniegu leśniczówki docierał

Żyd – kupiec, jak mówiono. Po skóry kun, tchórzy, lisów. Bardzo wyczekiwany, bo z kieszeni szuby wyjmował tabliczkę czekolady dla dzieci. *Dlaczego my sprzedajemy?* – pytały dziewczyny. *My też chcemy nosić futrzane kołnierze!* Dziadek był oburzony: jeśli wy w tych skórach, to co powinny nosić żony adwokatów, kupców, ludzi bogatych? Konno, po męsku w siodle zajeżdżała często hrabianka Anne Marie. Mówiono o jej romansie z leśniczym Walterem, dziadek, zgorzszony widział ich pocałunek. Bezwstydnicą jeżdżąca po męsku, rozkraczona w siodle... Częstym gościem był hrabia Wilhelm Bolko – senior, notujący na mankietach koszuli, ołówkiem bieżące sprawy... Przywoził go samochodem kierowca Domagała, który umiał ruszać uszami, każdym osobno, także czapką...



Andrzej Sikorski

sekret

nie
nie ginie liść
przemienia się w opadaniu i kładzie na ziemi
jeden za drugim

ślina jeszcze
ostatni zapach i miejsce
rozpostartych ramion przy drzewie

to powraca do chmury
chmura na trawę
za szkołą kilkanaście plastikowych worków
zaparza liście
przerwa – gimnazjaliści palą

za szybą przerażona twarz
po głuchym uderzeniu
zakrwawiony listek w ustach
ani słowa
dalej nie można przesunąć

Dariusz Tomasz Lebioda

Dorada

Przepraszam cię srebrna rybo
że znalazłaś się na moim
talerzu w dalekiej
Dalmacji

wolna w głębinach przy białych
krasach wygrzewająca się
na płycznach

miałaś jeszcze lśnić
w podwodnych dalach
Adriatyku i wędrować
do szelfów oceanu

ale już wszystko skończone
rozbieram cię z białego
mięsa do wiecznego
snu

niebawem i ja podążę
twoim śladem a ogień
rozdzieli też we mnie
żelazo wapń potas
fosfor i cynk

Małgorzata Szczęsna

Szkic

zakpił z niej tak prosto
prostak
wmawiał, że to jej wina
milczała
w czterech ścianach akt się rozgrywał
do dnia ostatecznego
gdy miał to co jego
zacierał ślady
myślał...

nie uwierzy nikt
źle nie miała
ma czego chciała

zapomną...

zakpił z niej
zakpił z praw wolności, miłości,
żony, matki, kochanki
za mała w domu swego pana
powinna zniknąć
jak inne znikają

obudziła się...

Andrzej Haegenbarth

Dedykuję Dorocie WB

Motto:

*„w całość zdźwiężyć świat,
co się w nas rozpada bez wytchnienia”.*
Rainer Maria Rilke

Nie do pojęcia
nie do objęcia
feretron w przestrzeni
sięgający nieba

Grafizowana twarz patrzy
coraz większymi oczodołami
w ciszy rozpada się od wewnątrz
jak na zwolnionym filmie
odpadają fragmenty policzka
głowy i ust

Ktoś włączył dźwięk

Uderza trzask pękających lustrzanych tafli
przypominają rwącą rzekę która
przeradza się w huk wodospadu
spadającego na ziemię

Wpółobjęci z niedowierzaniem stąpamy
po trzeszczących pod stopami
pozostałościach twojego
prawie autoportretu

Stefania Pruszyńska

Zza okna

Nocny deszcz wyszeptał snom
i na szybach niemal wszystko
Słoneczne zegary już stroją
nikłe warkocze bladej zorzy

Świt świergotem i furkotem
małych ikarów miejskich
strząsa z nagich wierzb
resztki łusek mroku

Drząc na wiotkiej gałązce
i zaraz harcując na drugiej
niepozorny a głośny trelista
marzyciel nowej wiosny
z patosem i finezją
wieści mnie swoją muzą

I karmi mnie sobą jak wczoraj
głodny okruchu sensu
w codziennej obfitej biesiadzie
niewiadomej w miłości

Karmi mnie przenikliwie

Zygmunt Dekiert

Falstart

Aniele stróžu...

Przeprowadź mnie
po kładce smutkiem chybotliwej
na drugi brzeg przebudzenia uśmiechu

Oddam pióro z twojego skrzydła
zgubione w pogoni za zielenią wiersza
który jeszcze nienapisany

Magdalena Blumczyńska

Kręgi

Coraz bliższe
Zataczają nade mną kręgi
Starość i śmierć.
Otaczają mnie
Ulicami pełnymi
Drżących rąk,
Zagubionych spojrzeń,
wyblakłych oczu.
Potykam się wzrokiem o
Niesprawne
Nogi
Laski
Bruzdy na twarzach.
Łapię
Pogubione myśli
Poplątane słowa.

Krystyna Mikołajewska

Nie pytaj

Nie pytaj
czy jutro
będę

wczoraj było
nieziemskie

dziś szaty podarte
o cierniste krzaki
nieporozumień

poczucie utraty
zmienia spojrzenie
na pojęcie własność

istnieje
tylko pragnienie
brania w dawaniu

znowu
nic nie wiem...

Mirosława Poncyliusz

moje miejsce

noc nosi długie wypłowiałe suknie
księżyc na ostatnich piętrach dostaje po gę-
bie

nikt nie mówi: posłuchaj – grają świerszcze
nie ucisza wyjącego psa

dzień nie wstaje cicho
nie otrząsa się leniwie z rosy

stuka głucho trzeszczy
charczy jak umęczone zwierzę

Maria Magdalena Poczaj

Co mi powiesz pasterzu wieczornej godziny
białej jak opłatek wyjęty z cyborium chmury
dziś po raz pierwszy odśnieżałam wiersze
a spadło ich tyle że podwórko całkiem
zniknęło

nie dziw się więc że zaczęłam rozczytywać się
w epitafiach pełnych mądrości z innego

świata
do którego nam daleko choć całkiem możliwe
że jest bliżej niż ta ginąca w ciepłym oddechu
śnieżynka...



Ścieżki i zaułki

7 kwietnia 2022, czwartek

LEKTURA: Czytam cztery książki jednocześnie i zachłystuję się ich mądrością. Po latach, gdy mogłam tylko popatrzeć na książki, ponieważ mam chore oczy, ślepnę właśnie od czytania, coś drgnęło i mogę bez szkody dla zdrowia wrócić do lektury. Czyżby to ta magiczna 50-tka, która zbliża się wielkimi krokami uleczyła mi oczy... Zatem jest jakiś pożytek ze starzenia się... Nigdy nie zgadzałam się z powiedzeniem, że „starość się Panu Bogu nie udała”. Starość to dla mnie na przykład Ojciec Święty Jan Paweł II, który swoją heroiczną postawą i posługą do końca umęczonego starością ciała dał nam najpiękniejszą katechezę ludzkiego powołania do służby bliźniemu w każdym wieku. Pan Bóg da siły, eutanazja – obok aborcji i In vitro – najtraficzniejszą zbrodnią i pomyłką ludzkości. Tak więc: mogę czytać. Moje wygłodniałe zwoje mózgowe rzucają się na wszystko, co ma litery, ale jednak dokonuję selekcji: *Biblia* i jej angielska wersja językowa. Już raz przeczytałam *Pismo święte* oraz tłumaczenie, tym razem niemieckie. Tłumaczenie arcyciekawe: język – współczesna, potoczna niemieczyna, realia również współczesne. A więc Apostoł pojechał rowerem, wysłał SMSa, faraon to prezydent Egiptu – bardzo ciekawa koncepcja. Czytałam latami z wielką uwagą i czyniłam to starannie, ale tu refleksja – bez modlitwy *Pismo święte* to „tylko” literatura. A literatura to często po prostu bzdura. *Stary Testament* – ile przemocy, ile wojen, ile krwi... Czułam się jednak w obowiązku – jako wierząca i praktykująca katoliczka – Biblię znać. (Chociaż mam też swoje poglądy, odmienne od oficjalnych. Swoje poglądy też trzeba mieć). Bo reszta – cała światowa nawet klasyka – to po prostu Komentarz do świętej księgi. I tyle. Zatem „zwykle” książki odeszły, zostało obcowanie z Sacrum. Nie żałuję. Teraz nadrabiam stracone lata. Interesuje mnie wszystko, kompletuję biblioteczkę z „magicznej szafy” ustawionej na osiedlu, na którym mieszkam.

NAPOTKANY CZŁOWIEK: Gdy wróciłam tu osiem lat temu, po około piętnastoletniej emigracji (13 lat w Niemczech, 2 lata w Paragwaju), zastałam Polskę milczącą, niemą. Idę do sklepiku osiedlowego, takiego rodzinnego sklepiku „U Józia”, a tam panie, które mnie obsługują – ani słowa. Żadnych plotek, osiedlowych sensacji. Cisza. Wszędzie cisza. A przecież czasy były jeszcze w miarę spokojne, bez wojny, bez inflacji, sklepy zawałone towarami... Tymczasem społeczeństwo podzielone na dwa spolaryzowane obozy, walczące ze sobą, nienawidzące się wzajemnie. Tak. W czasach spokoju Polak Polakowi wilkiem. Gdy nastają czasy złe, trudna, bolesne – jednoczymy się, jesteśmy solidarni, otwarci, życzliwi wobec siebie. I teraz – jak wiadomo – nastały czasy złe. Czyli otwieramy się, zagadujemy, podnosimy głowy znad srajfonów dostrzegając życie w realu. Zagadnięty pan na przystanku – około 35 lat – podejmuje ze mną konwersację. Jest oberwanie chmury, ja – jak zmoczona kura, czyli o pogodzie. „Niech pani jedzie do Turcji, tam jest ciepło...” mówię: Nie. Tylko Poznań mnie interesuje. I tutaj pan jest w szoku. Mówi: Jak to??? Przecież Turcja taka

ładna, Antalya, słońeczko, na dwa tygodnie, odpocząć, zrelaksować się, pojechać i wrócić. I moje, asertywne: Nie. Powtarzam: Tylko Poznań mnie interesuje. Tu się urodziłam, wychowałam, Poznaniakami byli moi śp. wspaniali rodzice, tu są pochowani. Pan nie odpuszcza: „ale przecież żeby odpocząć trzeba gdzieś pojechać...” Ja: tak. Nad Rusałkę, na spacer nad Malte, do rezerwatu Żurawiniec... Pan patrzy na mnie jakbym spadła z kosmosu. Bo żeby poznać jakiś kraj, trzeba mieszkać w nim latami, poznać język, obyczaje, kuchnię, słowem wszystko i ja – żyjąc w Niemczech (bo także szczerze powiedziałam temu Panu, że już się najeżdżałam) musiałam się – dla komfortu psychicznego – nawet trochę zniemczyć. Tak. Emigracja to jedno z najcięższych i najtrudniejszych doświadczeń w życiu każdego człowieka. Sława Ukrainie, która nadeszła do Polski, tworząc nam nagle istotną mniejszość narodową i dając nadzieję na polepszenie katastrofalnej sytuacji demograficznej w naszym kraju.

8 kwietnia 2022, sobota

GOSPODARCZA SOBOTA. Zakupy na cały tydzień. Chleb kosztuje 4,40. Gdy przyjechałam kosztował 3,60. Obiad w restauracji osiedlowej był za 12 złotych. Obecnie – 30. Dokładnie te same dania, te same produkty. Za krótkie strzyżenie włosów – 7 minut pracy pani fryzjerki – płaciłam niedawno 25 złotych. Teraz już 35. Panie pracujące w markecie nie nadążają ze zmienianiem cen na produktach. Pan piekarz w radiu wypowiedział się, że na koniec roku chleb ma kosztować 10 złotych. Ale przede wszystkim świat wrócił do jakiejś normy, „wariatkowo” pozornie się skończyło. Tyle, że znajomy Anglik Stephen mówi mi, że jest już kolejna mutacja koronawirusa. Po chwili oddechu z powrotem mamy wracać w to covidowe szaleństwo??? Perspektywa: Tak będziemy już żyć??? Czyli epidemia *dengue* w Paragwaju.

Epidemia *dengue* w Paragwaju. *Dengue* to rodzaj malarii, a malaria jest przenoszona przez komary. Przed komarem się – jak wiadomo – nie ucieknie, nie pomogą żadne cudowne rozpylacze, środki chemiczne na owady itp. Po ukąszeniu przez tego owada z reguły choruje się na gripę, gdy ma się wielkiego pecha, choroba jest złośliwa i umiera się w mękach. Wiedzą o tym wszyscy żyjący przynajmniej w Asuncion – milionowym mieście położonym nad wielką rzeką, gdzie te insekty mogą się bez problemu mnożyć. Do tego wszechobecny, trzecioświatowy bałagan, walające się śmieci itd. Czyli przed zarazą się nie ucieknie. Trzeba z nią po prostu żyć. Nasze europejskie lato z temperaturami około 30 stopni trwa tam praktycznie cały rok, tak więc nawet sezonowość pór roku nie pomaga. Rodzi to wszystko strach. Wieczny strach. Jakąś atmosferę paniki i dziwności wiszącą w powietrzu. Wszyscy sobie mówią ile osób umarło już na *dengue*, co skrupulatnie podają media. I niby nic się nie dzieje. Życie normalnie się toczy, w żadnym wypadku nie robi się lockdownów, czyli zamknięcia całej gospodarki, ale jest w tym wszystkim jakiś wieczny strach, zagrożenie, obawa. I co??? *Dengue* jest w Ameryce Południowej od kilkuset lat, „był też czas przywyknąć”... Człowiek to takie stworzenie Boże, że do wszystkiego się przyzwyczai. Tylko że jak wróciliśmy z Rodziną do Europy to ze szczęścia myślałam, że będę całować płytę lotniska... Tak. Zimny klimat. Tutaj komar jest tylko denerwującym intruzem, a nie cichym zabójcą...

Violetta Książkiewicz – przestrzeń wypełniona.

Artystka w swojej twórczości od roku 1992 rysunkiem i malarstwem „odnosi się do świata realnego, opierając się na swobodnych skojarzeniach sugerujących przestrzeń, światło i bogactwo form organicznych. Rysunki piórkami i czarnym tuszem urzekają bogactwem zróżnicowanej kreski i układami kompozycji asymetrycznych, kontrastujących ze sobą form. Odnosi się wrażenie oglądania widoku skalistego pejzażu oraz otwartej przestrzeni wypełnionej światłem...” Słowa profesora Edwarda Gąsiora celnie oddają charakter twórczości Violetty Książkiewicz, artystki aktywnej w środowisku poznańskich artystów plastyków zrzeszonych w ZPAP /jest ona w zarządzie okręgu poznańskiego ZPAP/ oraz w Stowarzyszeniu Marynistów Polskich. Ostatnie wystawy Violetty Książkiewicz „Gdzieś nad poziomem morza” w Galerii Sztuki w Mosinie koło Poznania /dawna synagoga/ i wystawa „Afrodyta, morze, woda” w Centrum „Avenida” w Lulu Cafe w Poznaniu pokazały czarowny świat morza i gór rysunkiem, piórkami, pastelami opisany. Wspaniała technika artystki dowodzi kolejny raz że rysunek jest podstawą uprawiania sztuk wizualnych. Bez niego nie ma malarstwa, filmu, fotografii. Tak zachwycamy się rysunkiem Rembranta, Leonarda, Michała Anioła czy Picassa, a pastelami Wyczółkowskiego. Sztuka Violetty dowodzi iż rysunek jest podstawą i samodzielny dziełem sztuki. O rysunkach i pastelach o tematyce tatrzańskiej pokazanych w Galerii w Mosinie /pod patronatem Uniwersytetu Artystycznego im. M. Abakanowicz/ napisał wybitny poznański poeta śp. Ryszard Danecki :”...polskie Tatry, ale i słowackie stały się inspiracją twórczą i tematem rysunków i pasteli. Liryzm, delikatność emanują zwłaszcza w pełnych szczególnego ciepła pastelach. Rysunki zaś tuszem robią rzeźbiarskie wręcz wrażenie bryłowością form”. Kurator wystawy „Afrodyta...” Jan W. Malik w „Avenidzie” szczerze dziękował Violetcie za wyczarowanie świata podwodnych nimf, bogiń, syren w rysunkach jakich "dawno świat naziemny nie widział" . Budziły one zaciekawienie i sensację zwiedzających tłumnie wystawę, jak na galerię handlową przystało. Violetta Książkiewicz ukończyła Uniwersytet Artystyczny im. M. Abakanowicz w 1992r. Malarstwo studiowała w pracowni prof. P.C. Kowalskiego, a rysunek w pracowniach prof. A. Leśnika i prof. J. Drażkiewicza. Wystawiała w Hamburgu, Amsterdamie, Rotterdamie, Nowym Sączu, Krakowie, Toruniu i Poznaniu. Matką artystki jest graficzka śp. Bożena Hubicka, a wujkiem fotograf śp. prof. Stefan Wojnicki /brat matki/ inicjator magisterskich studiów fotografii na Uniwersytecie Artystycznym w Poznaniu. Artystka planuje szereg wystaw indywidualnych swoich rysunków oraz planuje udział w wystawach i konkursach sztuki w Polsce i zagranicą. Violetta Książkiewicz twórczo pracuje w Poznaniu i Mosinie, gdzie mieszka. Działa aktywnie w środowisku artystów plastyków będąc w Zarządzie Okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków w Poznaniu, uczestniczy wystawach ZPAP oraz Stowarzyszenia Marynistów Polskich.



Violetta Książkiewicz na wystawie swoich obrazów

Kamila Kampa

* * *

biała tawuła
pochyla swoje kwiaty
mrok rozświetlony

* * *

drzewa i ptaki
pośród betonu szosy
zdeptana przystań

* * *

na dom ogniście
nachodzi zachód słońca
beztroski pożar

* * *

rozgrzane ciało
topi prześnieżne gwiazdy
krople łez w dłoni

* * *

głośnie rozmowy
wiatr rozplata mi włosy
cisza odchodzi

* * *

pośród igliwia
sroka uwiła gniazdo
zadźwięczy sosna

Anny kopytko pod spódnicą?

Czytając, publikując w „Protokole Kulturalnym” felietony Anny Kokot-Nowak, nie przypuszczałem, że spotkam się z nimi jeszcze raz, zebranymi w wydaniu książkowym. To nowa jakość i przygoda czytelnika, ale także i tych tekstów... Książka, wybór złożony z felietonów, pojawia się nieczęsto.

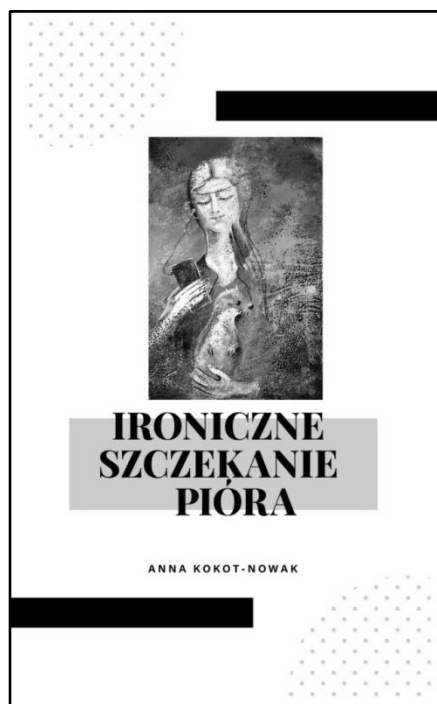
Zaskakuje nas różnorodność tematów, wątków, opinii, faktów, hipotez, również występujących postaci. Zebrane w książkę felietony już swymi tytułami zapowiadają czytelnicze atrakcje: „Bziki, manie i nawyki”, „Kuchenne orgie”, „Świąteczna szermierka słowami”, „Inwazja przydasiów”, „Bambosze czy spadochron?”. Piórem lekkim, pełnym emocji, tak jak lekkim krokiem, przechodzi autorka przez ważne sprawy, problemy naszego świata i współczesnego człowieka. I nie zmyli nas ta pozorna beztroska, kpina i poczucie humoru, bo wbrew pierwszemu wrażeniu, prace te mają swój ciężar myślowy, troszczą się o nasz ludzki los, człowiecze wartości, słowem – o to wszystko, co kształtuje drogi współczesnego homo sapiens.

Szczególną uwagę Anny Kokot-Nowak cieszą się tak zwane nowe media, nowe sposoby komunikacji, zapisu, porozumiewania. Cykl zatytułowany „Cyberwarknięcia e-felietonów” zachowuje swe szczególne miejsce (i ciężar gatunkowy) w zbiorze felietonów. Bohater tych tekstów – homo faber, budzi raczej współczucie: bombardowany nadmiarem kontaktów, informacji, zapisów, obrazów... Słaby, zdezorientowany, niegodny swego Stwórcy.

Przy pierwszym, przysłowiowym, czytaniu bohaterami felietonów wydają się idee, koncepcje filozoficzne, postawy etyczne, jednak sięgając głębiej, dostrzegamy prawdziwych bohaterów felietonów. To my – ludzie. Ileż czulej uwagi, sympatii, obserwacji zawiera poniższy cytat z „Tajemnicy pokoju 243”, rysujący krwiste sylwetki i sceny z poznańskiego Klubu Literackiego w Zamku: „Talenty i ci, co przegrali życie, chłopcy, baby, babochłopcy i byt sam w sobie: Irena Maruń. Niewinni czarodzieje i rozpoetyzowane kurtyzany, dentystki i przyszli układacze płytek w Irlandii, a może w Szkocji. Prawnicy »Szepczący po kątach« i pracownicy Centrum Kultury Zamek, którzy po godzinach gotowi byli wyznać, że są starym strychem. Były lolitki, bujające się wysoko na hamaku schizofrenicznej emocji i samozwańcze artystki każdej możliwej sztuki (oprócz sztuki mięsa). W pokoju 243 pojawiła się niejedna Matka Joanna od Demonów i piękna anielica – dziewica, z czarcim kopytkiem pod spódniczką”.

Tok narracji prac Anny Kokot-Nowak żywy, sporny, pełen ekspresji. Autorka chętnie wchodzi w język swoich bohaterów, posługuje się nim z wyraźną wprawą („Heheszki z cewebryty”). Bywa i tak, że ryzykuje, ponosi ją słowo, emocja. Cóż... Prawo, uprawnienie felietonistki...

*W numerze wykorzystano obrazy
Violetty Książkiewicz*



Anna Kokot-Nowak: „Ironiczne szczekanie pióra”,
Bogucki Wydawnictwo Naukowe, Poznań 2022.
Książka wydana ze środków Marszałka Województwa Wielkopolskiego
Na okładce reprodukcja obrazu Róży Nowak

Promujemy prozaików – debiutantów

Poznański Klub Literacki od lat promuje talenty literackie. Obecnie wychodzi z nową inicjatywą. Prozaikom po debiucie daje możliwość wypromowania twórczości. Alicja Kubiak – prozaik, recenzentka, autorka wielu opowiadań i recenzji publikowanych w pismach literackich oferuje napisanie recenzji nadesłanych pozycji. Zainteresowanych twórców prozy zapraszamy do kontaktu: dotykslowa@gmail.com oraz nadsyłania swoich debiutanckich książek na adres: Alicja Kubiak, skr.poczt. 8, ul. Poznańska 105, 62-080 Tarnowo Podgórne